MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 18 (Nr. 17 skonfiskowany) WARSZAWA, 16 LIPCA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

ŚWIATOWE IDEAŁY „MNIEJSZEGO NARODU“

FERMENT społeczny, wzmożony po wojnie a wydobywający na górę społeczeństwa warstwy niekulturalne, niedostatecznie przygotowane do pełnienia kierowniczej w społeczeństwie roli, stał się dogodną sposobnością szerzenia rozmaitych idej prymitywnych, dostosowanych do uproszczonego sposobu myślenia młodego żywiołu. Idea rządów proletarjatu miała już czas przed wojną się wytrawić, wzięto ją jeszcze na serjo w Rosji i tam ona dogaśnie. Natomiast z tem większą siłą, zabrano się teraz do szczepienia idei internacjonalizmu.

W łonie tajnych formalnie organizacyj, zmierzających jednak do nietajnych już celów, głównem zadaniem sfer liberalnych i rewolucyjnych stało się szerzenie haseł międzynarodowego współżycia narodów. Urabianie umysłów w tym kierunku zmierza do urzeczywistnienia wielkiego planu urządzenia Europy na zasadach Stanów Zjednoczonych, co się może udać tylko po wyniszczeniu psychiki życia narodowego.

Idea „wolności społecznej“, tak dla Europy przystosowana, nosi na sobie piętno żydowsko-amerykańskie, a siła jej natarczywości obecnej — piętno powojennego dolara. Wzięto się do Europy nie na żarty. Niema dziś sprawy politycznej, społecznej, wychowawczej, czy obyczajowej — w życiu publicznem, w prasie i literaturze — któraby w tym duchu nie była nastawiana. Negatywną zaś stroną tej roboty jest walka z „nacjonalizmem“, poprostu z ideą narodową. Wiążą się z nią rozmaite fakty, nie wyłączając tragicznych, jak przewroty polityczne, walka z kościołem katolickim — aż do faktów zupełnie płaskich i śmiesznych.

Idea ta odgrywa—ku zmartwieniu całego świata cywilizowanego—dużą rolę we Francji, ale nigdzie nie jest stosowana tak bezceremonjalnie po opanowaniu rządów, jak w państwach młodych, a zwłaszcza słowiańskich, gdzie brak kultury politycznej łączy się pięknie z naiwnością.

Nie mamy potrzeby szukać daleko faktów, żeby zrozumieć ten nowy kurs gwałtownej miłości międzynarodowej. Weźmy z pod ręki „Kurjera“ i wczytajmy się w miejscowe wiadomości bieżące:

„Wymiana młodzieży z zagranicą“ — tytulik interesujący. Czytamy tam „Po długich przygotowaniach, ciągnących się blisko od półtora roku, Tow. wymiany z zagranicą młodzieży szkolnej podczas wakacyj doprowadziło swoje zamierzenia do skutku“. Wyjeżdża 300 wychowańców i wychowanic szkół średnich na dwa miesiące za opłatą 600 zł. Resztę dopłaci skarb. Organizacją zajął się Zarząd T-wa, na którego czele stoją dr. Witold Chodźko i S. Matuszewski. Wiemy, kto jest p. Chodźko, b. minister zdrowia używany do Ligi Narodów. Do odjeżdżających przemawiał delegat ministerstwa spraw zagranicznych, a p. Matuszewski „zalecił, aby każda uczestniczka wycieczki nawiązała przyjazny kontakt przynajmniej z dwiema rówieśniczkami we Francji i utrzymywała go nadal po powrocie do kraju“.

Ledwo zaczęliśmy się leczyć z podróżomanji i cudzoziemczyzny, demokracja już choruje. Nie zdołaliśmy zagoić ran, jakie nam zadało przymusowe wysyłanie młodzieży za granicę z powodu strajku w szkołach za czasów rosyjskich. Znacznie to osłabiło tętno życia, że z tego pokolenia wielu ludzi wyobcowało się psychicznie. A teraz, zanim młodzież kraj zdoła poznać, wysyła się ją do obcych, aby tam lokowała serca. Koniecznie najmniej dwie przyjaciółki!

Wiemy, jaką rolę odgrywa Liga Narodów, marząca o bajecznej karjerze w przyszłych Stanach Zjednoczonych Europy, ale może nie wszystkim wiadomo, że istnieje już „Literacka Liga Narodów“. Tak nazwano związek P. E. N.—clubów, który w czerwcu toczył obrady kongresowe w Oslo. Kongres interesuje nas ze względu na udział P. E. N.—clubu warszawskiego. Delegatami z Warszawy byli pp.: Goetel, Breiter i Sieroszewski. Pierwszy z nich streszcza w jednem z pism sanacyjnych zdobycze polskie: 1) do komisji redakcyjnej centralnego biuletynu P. E. N.—clubów powołano także polskiego literata. A gdzież będzie wychodził ten organ? W Berlinie; 2) Kongres przyjął wniosek polski o nagrodzie literackiej Ligi Narodów.

Widocznie chodziło delegatom polskim o wywołanie w literaturze polskiej zainteresowań duchem internacjonalizmu. Wnioskowi temu sprzeciwili się delegaci francuscy pp. Jules Romains i Cremieux. „W dyskusji, powiada p. Goetel, najgorliwiej sekundowały Francji państwa, mające animozję do Ligi Narodów; nas popierali cały czas delegaci niemieccy i wszystkie państwa słowiańskie"; 3) Polski też był wniosek, aby stworzyć przy centrali londyńskiej centralny komitet przekładów; przeniesiono ten komitet z Londynu do Genewy, do Ligi Narodów.

Polacy, unosząc się gościnnością, proponowali Warszawę na kongres następny, obrano jednak Wiedeń. Naogół przecież możemy być dumni: „widać było, że P. E. N. — club polski jest po „asach", jak Anglja, Francja i Niemcy jednym z najmocniej zorganizowanych, inne cluby grupują tylko część literatów swego kraju; (tu najciekawsza informacja) Italja wogóle nie otacza specjalną czułością swego P. E. N. — clubu, skoro odmówiła jego delegatom paszportów". Zdaje się jednak, że Italja uratuje w historji honor Europy, jako jedyna przedstawicielka zdrowego sensu. Delegat Breiter dodaje w piśmie swojem (sanacyjnem): „Pozatem przyjęto wniosek polsko-niemiecki o szczególne uwzględnienie tłómaczeń z języków narodów mniejszych". A delegat Goetel dopowiada: „Nasz P. E. N. — club zabierze się do żmudnego dzieła przekładania naszych klasyków na języki obce. Będziemy tłumaczyli od Kochanowskiego do Wyspiańskiego". Należy się chyba spodziewać, dodamy, że P. E. N. — cluby angielski, niemiecki i in. zabiorą się do żmudnego dzieła przekładania swoich klasyków na język polski. Biedna ta Polska, pomimo wspaniałości klasyków swoich, biedna — moralnie, żebrząca, protegowana... przez Niemców!

Umyślnie zatrzymałem się dłużej nad internacjonalną literaturą, od literatów bowiem możnaby wymagać głębszej refleksji. Cóż mówić o modzie, narzuconej innym dziedzinom: „współpracy" narodów intelektualnej, współpracy gospodarczej, sportowej? Istny szał mizdrzenia się po świecie, tem większy, że koszta ponosi skarb państwa.

Najbardziej odpowiednia dla „współpracy" międzynarodowej dziedzina politycznych stosunków jakże się w świetle tej mody umysłowej przedstawia? W Warszawie mieliśmy „Kongres pokoju" (już 26-ty). Zjechali się delegaci z całego świata i ktoby mógł pomyśleć, że atrakcją dla nich jest dr. Pollak ze swoją Ligą pokoju? Ponieważ hasła pacyfizmu są ściśle związane ze „współpracą" ekonomiczną narodów (kapitał pragnie pokoju), więc prócz dr. Pollaka mieli coś do mówiew imieniu Polski pp. Tennenbaum, Gliwic, Posner — no i oczywiście Łypacewicz, Nagórski i in. Uroczystość wielka w pismach żydowskich, jak „Epoka", „Nasz Przegląd", wykrzykiwanie sławnych nazwisk jakichś laureatów Nobla, właściwie jednak poważni politycy na tych zjazdach nie pokazują się. Delegaci zagraniczni nie byli u pomnika Mickiewicza czy Kopernika, ale złożyli wieniec na grobie dr. Zamenhofa, który swojem esperantem zasłużył się ludzkości. Marszałek Daszyński witał w osobach pacyfistów „wielkich bojowników pokoju, mężnych i odważnych żołnierzy pokoju". Ta forsowna propaganda pokoju robi wrażenie niewinnej zabawy w truizmy. Któż bowiem nie ceni pokoju? Warjaci tylko i złoczyńcy knują spiski, urządzają niepotrzebne wyprawy, jeżeli zaś mowa o wojnie, jako ostatecznym środku zabezpieczenia interesów państwa, to przecież nie manjacy doktryny mają prawo o tem debatować, tem mniej ludzie nieokreślonej narodowości, organicznie zdziwieni, ilekroć słyszą, że wogóle narodowi na czemś może zależeć, a jeszcze mniej żydzi, którzy nie mogą być „mężnymi i odważnymi".

Oczywiście, również dobrze można założyć np. „Ligę przyjaciół życia"; ale ta potrzeba propagowania instynktu samozachowawczego, jakby on był nowym wynalazkiem, nie jest tak zabawna, ma ona bowiem na celu urabianie nastrojów, któreby narodom naiwnym pozwoliły wszystko poświęcić dla samej idei świętego spokoju. Wtedy Ameryka, urządzająca Europę, miałaby przygotowany grunt dla swoich projektów paktu przeciw wojnie. Ameryka bardzo się interesuje stosunkami w Europie. Kongresowi P. E. N.—clubów w Oslo delegat Stanów Zjednoczonych — jak pisze nasz delegat Breiter — „przywiózł zapewnienie dużych subsydjów z funduszów Carnegi'ego".

W Warszawie na kongresie pokoju ubolewano, że „egoizmy narodów opóźniają rozwój Ligi Narodów w kierunku organicznej koncepcji federalnej". Ubolewał nad tem sen. La Fontaine, prezes Międzyn. Biura Pokoju. Nacjonalizmy „nie chcą się ugiąć przed ideałami ogólnemi". Tymczasem „pacyfiści, których zadanie zarysowuje się obecnie wyraźnie, są apostołami wielkiego wyzwolenia z błędów, ciemnoty i przesądów przeszłości, są budowniczymi przyszłej idealnej społeczności ludzkiej". Bardzo pięknie, ale Polak stwierdzić musi, że wielka wojna, którą pacyfiści w Warszawie wyklinali, uratowała Polsce — życie. Ani mniej, ani więcej — życie.

Modliliśmy się z Mickiewiczem o wojnę światową, teraz się modlimy (i do tej modlitwy wzywamy przedewszystkiem dzisiejszych Mickiewiczów) o poczucie rzeczywistości. Tem gorliwiej modlić się powinniśmy, że zmawiają się koło nas na nas, ażebyśmy zarodki tego poczucia utracili. Przytoczyłem przykłady, jak to się robi.

Co my Polacy mamy sobie o tem wszystkiem do powiedzenia? Pozostańmy wierni przyrodzie. Wierzymy w wynalazczość naszej epoki, ale nie wierzymy w możność wymyślenia sztucznego człowieka. Ufajmy prawu przyrodzonemu, tak nam radzi zdrowy polski realizm. Przebyliśmy już dzięki Bogu tysiąc lat historycznego rozwoju w trudnych warunkach, poradzimy sobie dalej bez sekt amerykańskich. Budowniczowie idealnej ludzkości są taką sektą, jak inne sekty amerykanów, szukających dopiero Boga i form cywilizacji narodowej.

Przedewszystkiem nie pozwalajmy z siebie drwić i robić z Polski szpitala warjatów. A więc po kolei.

Nie będziemy posyłali stadami dzieci swoich na podchowanie za granicę i cudzych nie mamy prawa podchowywać. Niechże przynajmniej wychowanie ma na sobie pieczęć jakiejś powagi. Wysyłanie dzieci, żeby każde przywiozło do kraju „dwa serca" cudzoziemskie, to romantyzm komiwojażerski i komiczny. Dziewczynka polska, która przywiezie sto serc, zdobędzie rekord, będzie szampjonką światową. Wyrośnie z niej matka „nowego człowieka", zrodzi nie Polskę, lecz—ludzkość! Pomysły godne czasów, kiedy wychowanie oddawało się inżynierom, chirurgom i wojskowym. Dawniejsza matka-Polka—do rupieci przesądów, ta będzie idealną matką *homunculusa.* Angielskie panienki zabiorą trochę serc; niemieckie, francuskie rozbiorą resztę. Wtedy będzie pokój. Bo jak powiedział marsz. Daszyński, „ruch pacyfistyczny, któryby miał za sobą poparcie serc macierzyńskich, będzie ruchem niezwyciężonym". Ludzkość uszczęśliwimy. Ale czy nie więcej dalibyśmy

ludzkości, gdybyśmy wpierw ze swojego narodu zrobili coś solidnego? Czy nie więcej dałby jej Polak wychowany po polsku, nie na blagę międzynarodową, i mizdrzeniem zdobywający serca, — Polak, któregoby trzeba szanować?

Bo zastanówmy się: czy to nas w Europie nie widzieli? Sto kilkadziesiąt lat byliśmy „pielgrzymami", cały świat zaludnialiśmy swoją emigracją — i to nie byle jaką. Popisywaliśmy się nie w piłce nożnej, jak teraz, ale bronią i krwią, żebraliśmy też i serc. I co nam z tego przyszło? Im więcej serc zdobywaliśmy, tem mniej ich mieliśmy, aż wymazano nasze imię z pamięci. Dorobiliśmy się serc wtedy, gdyśmy pokazali w kraju (w przystępie „egoizmu"), że umiemy pracować, że mamy poczucie rzeczywistości dziejowej i rozum polityczny. Miły Boże! Wysyłać panienki na pokaz! Wysyłamy miljony ludzi w świat, bo ich przekarmić nie umiemy; są we Francji, są za oceanem; ludzie dzielni, jednają serca. Ale to żywy towar. Mało nam tragedji, handlujmy żywym towarem dla zabawy w doktrynę, dla przyjemności rasy międzynarodowej, tworzącej prototyp owej idealnej ludzkości!

Więc i do panów literatów polskich: uspokójcie się. Nie szukajcie nagród literackich po świecie, nie urządzajcie olimpjad i nie molestujcie po odpustach i jarmarkach łaski dla literatury polskiej. Przedewszystkiem dlatego, że nie macie nic do ustąpienia z siebie na rzecz czystego „człowieka" wogóle. Literat, żeby nie wiedzieć jak wyrwać się chciał ze swojej skóry, przekleństwo rasowości dźwigać będzie zawsze. Nic na to nie poradzi Liga Narodów. Nawet mniejszości, któremi się ona opiekuje, za Polskę literatury nie stworzą, tylko ją stworzy Polak, wierzący w swoją rasę i kochający swoją odrębność cywilizacyjną. Nie przesadzajmy ze sprawą przekładów! Jeśli mamy dzieła wartościowe, to kto ich nie chce poznać, ten sobie krzywdę robi, nie nam. Nie przywiązujmy też politycznie zbyt wielkiej wagi propagandowej do swoich „klasyków". Grecji nie zrobi to wielkiem mocarstwem, że się wykaże Eschilesem lub Fidjaszem, powaga zaś Italji rośnie dziś nie dla tego, że Danta przełożył Porębowicz, lecz że nie daje paszportów na kongresy P. E. N—clubów. Z czasem będziemy się wstydzili swego dzisiejszego komiwojażerstwa. Bo akurat tak padło, że te zabiegi międzynarodowe o nagrody i łaski wielkich cywilizacyj, czynione są przez generację, która mówić może o wielkości literatury tylko z powołaniem się na klasyków i kilku starszych pisarzy żyjących. Akademja przecież literacka dla tego jest mało realnym pomysłem, że nie mamy wielkich pisarzy. A ja dodam — i nie będziemy mieli, póki zawracać sobie będziemy głowę szukaniem serc zagranicą, a nie oddamy swojego, jak Prus, Sienkiewicz, Wyspiański, swojej polskości.

Naród Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Kopernika, Szopena nie potrzebuje włóczyć się po kongresach agitacyjno-politycznych, ani składać ofiar z dzieci na ołtarzu ludzkości, aby się dowiedzieć, że wymiana darów między cywilizacjami narodowemi jest niezbędna. Genjusze znajdą drogę do siebie tem łatwiej teraz, przy uregulowanych stosunkach politycznych, komunikacyjnych i przy tak wydatnej pomocy instytucyj i kongresów naukowych. Co innego jednak widzimy w dzisiejszym ruchu międzynarodowym, biorącym za punkt wyjścia nie rzeczowe względy, lecz uczuciowe, połączone z fikcją ideową, że oto nastaje era idealnej ludzkości, w której łonie odbywa się już tylko jedna zbiorowa „współpraca" i że niema takiej dziedziny, w której nie należałoby wytworzyć włókien nawet osobistych, wiążących narody w jedną całość. W ten sposób nazwa narodu, stającego się jakoby przeżytkiem, tymczasowo jest używana w znaczeniu miejscowości.

W pochopności, z jaką ta idea w Polsce jest przez sfery wpływowe dzisiaj popierana, możnaby widzieć rodzaj patrjotycznego (czy regjonalnego) wyrachowania, mianowicie, że „mniejszy naród" na tej spółce grubo zarobi, interes bowiem przyniesie większą dywidendę, niż gdyby naród pracował na własny rachunek. Błąd jednak w tej kombinacji jest widoczny: jest to sposób myślenia pasorzyta, który się nie troszczy o źródła życia twórczego. Dlatego w oczach dziedziców cywilizacyj narodowych ten typ myślenia uchodzi słusznie za żydowszczyznę, która patrzy na każdą gospodarkę ze stanowiska doraźnych korzyści osobistych.

Dążność do „likwidowania interesów" typu narodowego z zamianą na życie hotelowe w łonie ludzkości ma w sobie wybitne pierwiastki „reisenderskie". Literatom nie trzeba chyba szeroko tłumaczyć, że co innego jest podróżnik, a co innego „podróżujący", jak mówią w Poznaniu. To już kwestja nawet dobrego smaku.

A wreszcie ów pokój, czy spokój. Tak samo jak jednostka, porządnie wychowana w charakterze narodowym, jest najlepszym przedstawicielem ludzkości, jak pisarz narodowy jest dlatego twórczy i dlatego może coś wnieść do skarbu ludzkości, że jest narodowy, tak samo tylko to państwo daje rękojmię poczytalności w stosunkach międzynarodowych, które prowadzi naprawdę politykę narodową. Ta jedynie może być stateczna. Z wykładów o polityce Romana Dmowskiego zapamiętałem głęboką uwagę tej mniej więcej treści: „Nigdy nie pozwalałem sobie na rolę adwokata sprawy polskiej, starałem się zawsze być sędzią, wchodziłem w sedno spraw światowych, aby zrozumieć, co jest interesem nieodpartym innych, zainteresowanych sprawą polską; wtedy mogłem być i ja zrozumiany". Polityka narodowa jest odpowiedzialną przed dziejami już dokonanemi i przyszłemi, zgodna jest z prawami nabytemi w dziejach i obliczona na trwałość, nie ma w sobie pierwiastka ryzyka i awantury, musi się liczyć objektywnie z interesami tej samej próby u sąsiadów.

Co więcej polityka narodowa ma tyle sumienia, że da odpór złu, które grozi całemu światu. Jeśli na nią padnie obowiązek poskromienia uroszczeń do cudzej ziemi ze strony pruskiego przedsiębiorstwa imperjalistycznego, to dla świętego spokoju polityka narodowa nie da się zepchnąć z drogi obowiązku obrony kraju. I to właśnie leży w interesie ludzkości.

Nie zginął jeszcze rozsądek, jak się to wydaje ludziom załganym doktrynami i wysługującym się złotemu cielcowi. Narody zdrowe i mądre, choć nieraz słabo reagujące na muchy, które je obsiadają, patrzą krytycznie na owe kongresy i wiedzą, co sądzić o tyradach pokojowych w prasie; która dwa lata temu podżegała do walki bratobójczej, a kilka lat przedtem apotezowała hazard wojenny, narażający byt państwa i całą Europę na straszne niebezpieczeństwo. Któż od niego ocalił? Naród. Kto dał narodowi granice i kto mocarstwową pozycją Polski zapewnić chciał Europie równowagę i spokój? — Polska polityka narodowa, nie ta, która teraz „podróżuje" ze swoją miłością ludzkości.

ZYGMUNT WASILEWSKI

USTROJ WŁADZ W PANSTWIE

POSPOLICIE się mówi, że istnieją trzy kierunki władzy państwowej, mianowicie: władza prawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Dodaje się przytem, że w prawidłowo urządzonem nowożytnem państwie winien być przeprowadzony ścisły rozdział tych trzech władz. Ustalając jednakże te powszechnie znane prawdy nie wolno zapominać o tem, że państwem rządzi władza najwyższa, władza udzielna i zwierzchnicza lub mówiąc z cudzoziemska — władza suwerenna, która jest jedna, absolutna i niepodzielna. Dzierży ją i wykonywa każdoczesny panujący, którym może być bądź monarcha absolutny, bądź monarcha konstytucyjny w imieniu narodu, bądź sam naród w ustroju republikańskiem. Owa najwyższa władza obejmuje w sobie wszelkie dziedziny rządów i panującemu służy prawo wydawania ustaw oraz ich wykonywania, sądzenia sporów i karania winnych. Otóż panujący może, a przy pewnym rozwoju aparatu państwowego nawet musi wydzielić pewne funkcje i powierzyć je specjalnie do tego powołanym ludziom, organom czy urzędom. To więc, co nazywane jest rozdziałem władz w państwie jest tylko rozdziałem funkcyj najwyższej niepodzielnej władzy państwowej. Panujący, który wydziela i powierza te funkcje swym pomocnikom i zastępcom, nie zmniejsza przez to swoich uprawnień tak, jak dziedzic siedący na majątku nie pomniejsza swej władzy przez to, iż oddaje prowadzenie gospodarstwa rządcy lub powierza swe rachunki buchalterowi.

Pamiętając przeto, że trzy wymienione kategorje władz są pochodnemi jednej władzy najwyższej i że rozdział pomiędzy niemi ustanowiony został dla porządku i prawidłowego funkcjonowania maszyny państwowej, wypadnie dopiero zastanowić się nad zasadniczemi kwestjami polityki aktualnej, które wiążą się z dziedzinami władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowniczej.

Z prawodawstwem łączy się kwestja parlamentu i parlamentaryzmu. Nie znaczy to, aby parlament miał wyłączne prawo do pracy ustawodawczej i aby poza tą pracą nie miał jeszcze innych ważnych państwowych funkcyj do spełnienia. Wiadomo przecież, że wykonuje on kontrolę nad działalnością władzy wykonawczej i że w pewnych warunkach może nawet wykonywać władzę sądowniczą. Jednakże stanowienie praw i uchwalanie ustaw jest jego pierwszorzędną atrybucją i dlatego parlament w potocznym języku stał się synonimem ciała prawodawczego. Parlamentaryzm zaś jest to system rządów oparty na parlamencie, jako zasadniczym organie władzy państwowej, który nietylko uchwala prawa i kontroluje władzę wykonawczą, ale który tworzy rząd, delegując doń ludzi ze stronnictwa większości parlamentarnej.

Otóż od szeregu lat wiele się pisze i mówi o kryzysie parlamentaryzmu. Niewątpliwie kryzys taki istnieje, szczególniej w państwach europejskich. W ostatnich czasach doszedł on do tego, że w niektórych państwach parlamenty bądź wcale nie funkcjonują, bądź znajdują się w stanie dokładnie jeszcze nie ustalonego przeobrażenia. Jeśli parlamenty i rządy parlamentarne we wszystkich państwach europejskich nie są tem, czem się je mieć spodziewano, jeśli zawiodły nadzieje, jakie pokładali w nich konstytucjonaliści i liberałowie XIX stulecia i jeśli niema dotąd ustalonego hasła i programu reformy, to warto jest zbadać, jakie są właściwe przyczyny tych zawodów i niepowodzeń. Dla nas ważne jest przedewszyskiem wiedzieć, dlaczego chromał i chromać musiał parlamentaryzm w dzisiejszem państwie polskiem. Wtedy dopiero będzie możliwe szukanie i znalezienie właściwych dróg i sposobów naprawy.

Parlamentaryzm w formie, jaką mu chciał nadać liberalny wiek XIX przyszedł na kontynent europejski z Anglji. Tam już w XIII w. istniał parlament, który przechodząc długą ewolucję doszedł do największego wpływu i znaczenia w w. XVIII i na tej wyżynie przetrwał do czasów obecnych. Wówczas mawiano, że w Anglji parlament może wszystko uczynić prócz jednej rzeczy t. j. przerobienia kobiety na mężczyznę. Było to więc klasyczne „sejmowładztwo". Mimo to władza monarsza nie traciła na znaczeniu i uroku, a rządy były silne, mądre i konsekwentne. Kiedy po upadku rządów absolutnych, gotowy wzór angielski został szablonowo zastosowany do kontynentalnych państw europejskich, skutek okazał się zupełnie inny. Zamiast kopji uzyskano karykaturę. Wynikło to stąd, iż nie uchwycono istotnego sensu angielskich instytucyj. Są przecież pewne kardynalne warunki, od których zależy wartość rządów parlamentarnych i bez których parlament na wzór angielskiego funkcjonować nie może. Trzeba po pierwsze, ażeby w państwie była nie wielka ilość (z reguły dwa, najwyżej trzy) wielkich stronnictw politycznych, z których jedno, mające większość w parlamencie, sprawuje rządy, a drugie, będące w mniejszości, stanowi opozycję. Każde z tych stronnictw winno mieć jasny program o charakterze państwowym, ujmujący w odmienny sposób najważniejsze zagadnienia życia politycznego narodu i państwa. Każde z tych stronnictw, a więc nietylko to, co jest przy władzy, ale i to, co znajduje się w opozycji, musi się w każdym momencie poczuwać do odpowiedzialności wobec narodu i państwa za swoją politykę, albowiem winno być zawsze gotowe do objęcia rządów w państwie. Stąd właśnie wynika, że opozycja angielska jest opozycją Jego Królewskiej Mości (*His Majesty's opposition*) t. j., że nie walczy tylko dlatego, aby robić trudności rządowi, ale na to, aby zdobywszy większość stać się tego rządu następcą i przy pomocy innych metod prowadzić politykę swego poprzednika, politykę, mającą zawsze na celu dobro i najwyższy interes narodu angielskiego oraz imperjum brytyjskiego. Tylko przy tak pojętym parlamentaryzmie zachowana być może ciągłość planu i działania, bez której niema racjonalnych rządów.

Na kontynencie Europy parlamentaryzm rozwinął się podobnie jak w Anglji, drogą wielowiekowej stopniowej ewolucji w dwóch tylko państwach, mianowicie w Polsce i na Węgrzech. Doszedł on jednak do zupełnie innego ukształtowania się, niż w Anglji. Przypomnijmy pokrótce rozwój parlamentaryzmu w Rzeczypospolitej Polskiej, który nas tutaj bliżej interesuje. Posłowie do naszej dawnej izby poselskiej, wybierani na sejmikach, otrzymywali od swoich wyborców instrukcje wiążące. Byli więc oni delegatami sejmików ziemskich, które im narzucały swoją wolę i zgóry określały stanowisko, jakie musieli zająć w sejmie przy obradach i głosowaniu nad poszczególnemi sprawami. Stąd w dawnej Polsce izba poselska nie była zgromadzeniem przedstawicieli narodu jako całości, lecz raczej kongresem przedstawicieli ziem, wchodzących w skład Rzeczypospolitej. W tych warunkach nie mogło być mowy o tworzeniu się wielkich stronnictw poli-

tycznych, tworzących program państwowy, których walka o większość i o rządy stanowi istotną treść systemu parlamentarnego. Były tylko grupy, koterje i frakcje. Nie istniała większość i mniejszość. Do ważności uchwał potrzebna była jednomyślność, powszechna zgoda wszystkich posłów. Jeśli dodamy do tego, że rządu nie tworzył sejm i że rząd powołany przez króla nie ponosił odpowiedzialności politycznej wobec sejmu, to jasne będzie, jak dalece różnił się dawny parlamentaryzm polski od angielskiego.

Otóż tradycja tego swoistego parlamentaryzmu do dziś dnia przechowała się w polskim narodzie. Konstytucja 3 maja wprowadziła wprawdzie do naszego systemu sejmowania reformę w duchu nowoczesnym, ale reforma ta nie miała czasu wejść w życie. Przyszły rozbiory, a państwa zaborcze nie dawały nam bądź wcale, bądź w bardzo niedoskonałej i niekompletnej formie możności zapoznania się z istotą i praktyką życia parlamentarnego. To też kiedy po okresie niewoli Polska odrodzona nadała sobie wykończony na wzór zachodnio-europejski system rządów parlamentarnych, okazało się niebawem, jak mało on odpowiada pospolitemu sposobowi myślenia naszego społeczeństwa. Dotychczasowe doświadczenie naszego sejmowania i politykowania w odrodzonej Polsce jasno wskazuje na to, że społeczeństwo nasze nie ma zrozumienia i czuje jakiś instynktowny, starą tradycją wyhodowany niesmak do politycznej gry większości i mniejszości, która jest naturalną i niezbędną treścią nowoczesnego parlamentaryzmu. U nas przewagę wiekszości zwykle odczuwa się jako krzywdzący ucisk mniejszości. Namby się chciało ciągle dojść do zgody, do owej staropolskiej jednomyślności, która tak rzadko mogła być zrealizowana, a która i dziś może być osiągnięta jedynie w sprawach drugorzędnych i mało znaczących. Tem się też może tłumaczy tak powszechna u nas niechęć do konstatowania i ujmowania przeciwstawnych, a więc nie dających się pogodzić wielkich koncepcyj i programów politycznych, które muszą dopowadzić do decydującej walki między wyznającemi je stronnictwami.

Jasny obraz takich zasadniczych przeciwieństw jest u nas zatuszowany przez istnienie całego szeregu grup, partyjek i fakcyj, które wykrzykują hasła swego kramiku i własnego partykularnego interesu. Kramarski zgiełk toczących się między niemi targów i poswarek, ubijania i rozbijania zgody stwarza właśnie ten chaos partyjnictwa, które tak zraża bezpartyjne społeczeństwo i zniechęca do niezbędnej walki o istotne ideały i cele państwowe. Przy takiem pojmowaniu parlamentaryzmu, zbudowanego na wzór angielski, nie można dojść ani do zdecydowanej większości, ani do decydującej walki o istotne zasady państwowe, ani do zgody pomiędzy poszczególnemi partjami i partyjkami i w rezultacie otrzymuje się tylko bądź chaotyczne i bezcelowe sejmowładztwo, bądź jawną czy ukrytą dyktaturę rządu. Jeden i drugi wynik są dla prawidłowego funkcjonowania państwa zarówno szkodliwe.

Reforma więc naszego źle funkcjonującego parlamentaryzmu jest koniecznością państwową. Czy ma ona iść w kierunku zupełnego zniesienia parlamentu? Są ludzie w Polsce, którzy takie radykalne lekarstwo z zapałem wychwalają i proponują. Przypomina to ową anegdotyczną receptę o odcięciu głowy dla pozbycia się migreny. Pewno, głowa nie będzie boleć skoro jej niema, ale czy przytem funkcjonować będzie serce lub żołądek? Możnaby z równą racją żądać skasowania rządu, jeśli dany rząd źle spełnia swe zadanie. Trzeba pamiętać, że parlament ma sobie powierzoną pewną funkcję najwyższej władzy państwowej, którą piastuje naród. Inną znowu funkcję tejże samej władzy spełnia rząd. W razie skasowania parlamentu, jego władza wraca do narodu, ale bynajmniej nie przechodzi automatycznie na rząd. Przy konstytucyjno-parlamentarnym ustroju zachodnio-europejskiego typu, jaki dziś posiadamy, rząd nie stoi ponad parlamentem i uprawnienia tego ostatniego nie wypływają z woli władzy wykonawczej, raczej jest odwrotnie, skoro parlament ma prawo kontrolowania rządu. Ponad sejmem, tak jak ponad rządem i ponad władzą sądowniczą, stoi naród, któremu jedynie przysługuje władza najwyższa w państwie i który jeden ma prawo funkcje tej władzy rozdzielać i powierzać odrębnym instytucjom. Naród mógłby, kasując parlament, przekazać jego funkcje rządowi. Pytanie tylko, czy toby było posunięcie celowe i racjonalne. Nie zapominajmy, że parlament nie jest tylko ciałem ustawodawczem i że do niego należy także kontrolowanie rządu. Nie można przekazać rządowi kontroli nad rządem; byłoby to zniesienie wszelkiej kontroli nad rządem i wytworzenie rządu absolutnego. Już z tego przykładu widzimy, że usunięcie parlamentu nie jest łatwym i prostym sposobem wyjścia z trudności, jakie stwarza niezastosowany do warunków ustrój parlamentarny. Trzeba więc pomyśleć o innych środkach naprawy.

Naprawa ta mogłaby iść w dwóch różnych kierunkach. Należałoby bądź dostosować sposoby i formy naszego życia politycznego do tego typu ustroju parlamentarnego, któryśmy sobie na wzór angielski i zachodnio-europejski nadali, bądź też odwrotnie—dostosować formę i uprawnienia parlamentu do istniejących warunków naszego politycznego myślenia i działania. W obydwu tych wypadkach należy przytem mieć wzgląd na znaczenie narodu jako czynnika panującego i decydującego o losach państwa. Pierwszy sposób reformy byłby przedsięwzięciem nie rokującem powodzenia. Okazało się to zresztą w ciągu historji parlamentaryzmu w kontynentalnej Europie. Kryzys parlamentaryzmu wynikł właśnie z tego powodu, że społeczeństwa zachodnio-europejskie nie mogły się nałamać do treści i formy angielskiego życia politycznego. Nie łatwo jest zmienić psychologję narodu, urobioną długoletnią historyczną tradycją. Szczególnie trudno jest zaszczepić obce formy ustrojowe wśród narodu, który wyrobił u siebie analogiczne formy o innej treści. Polska, jak wiemy, miała oddawna swój własny parlamentaryzm zupełnie odmienny od angielskiego. Tradycja tego parlamentaryzmu jest tak silna, że wtłacza w obce wzory swoje własne ideje i z cennej dla obcych formy wytwarza aparat bezużyteczny, a nawet szkodliwy. Trzeba więc pójść w przeciwnym kierunku i zmienić aparat, który nie odpowiada warunkom życia. Jak to należy uczynić?

Przedewszystkiem pamiętać należy, iż parlament jest przedstawicielstwem narodu. Trzeba też zdawać sobie sprawę z tego, czem jest naród i jaka rola przysługuje mu w państwie dzisiejszem. W Polsce, jak wiadomo, pojęcie narodu nie pokrywa się z pojęciem ogółu obywateli państwa. Tymczasem nasza ultrademokratyczna konstytucja marcowa, wprowadziwszy zupełne równouprawnienie polityczne wszystkich, którzy formalnie są do państwa przynależni, sprawiła, iż parlament u nas nie jest przedstawicielstwem narodu, lecz ogółu obywateli. Taki stan musi być stanowczo zmieniony. Jakże bowiem można dawać takiemu parlamentowi te wielkie uprawnienia, które mu z natury rzeczy przysługują i które istotnie posiada. Przecież tylko jeden naród polski (w znaczeniu politycznem, a nie etnicznem) może mieć prawo decydowania o losach Polski, stanowić o jej prawach i urządzeniach, o po-

koju i wojnie. Takie decyzje mogą być tylko wynikiem woli i myśli owianych wspólnym patrjotyzmem polskim, a nie owocem wypadkowego kompromisu z czynnikami obcemi i Polsce wrogiemi. Parlament więc, jaki dziś posiadamy i nie może mieć praw parlamentu angielskiego czy zachodnio-europejskiego. Przekształcenie naszego parlamentu w przedstawicielstwo narodu może być dokonane różnemi, mniej lub więcej radykalnemi sposobami. Nie wchodząc w te szczegóły, zauważyć można tylko, że już przez odpowiednią reformę ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych cel ten, jeśli nie w zupełności, to w znacznej mierze osiągnięty być może.

Parlament jest dalej ciałem ustawodawczem. Że to ciało prawodawcze winno być dwuizbowe a nie jednoizbowe, tego chyba dowodzić już nie potrzeba. Jeśli w pierwszym Sejmie konstytucyjnym w tej kwestji toczyły się gorące walki i jeśli w drodze kompromisu utworzono Senat, dając mu przytem śmiesznie nikłe prawa, to po kilku latach istnienia tego Senatu, opinja publiczna przekonała się już o potrzebie stworzenia w państwie izby wyższej z pełnemi prawami. Przyjmując więc równowagę dwu izb prawodawczych za konieczny warunek prawidłowej i pożytecznej pracy ustawodawczej, musimy uznać, że parlament dwuizbowy, jeśli nie jest przedstawicielstwem narodu, a tylko zgromadzeniem obywateli, nie może dawać rękojmi, iż prawa przez niego uchwalane odpowiadają zawsze interesom narodu i państwa polskiego. O dobrem prawodawstwie w Polsce nie może więc dopóty być mowy, dopóki obie izby ustawodawcze nie staną się przedstawicielstwem narodu polskiego i póki nie zostanie wykluczona możliwość, aby decyzja co do charakteru i treści uchwalonych praw mogła spocząć w ręku czynników i grup, nie wchodzących w skład polskiego narodu.

Wreszcie w wykończonym systemie parlamentarnych rządów parlament tworzy rząd i kontroluje jego działalność. Przy takim systemie rząd jest delegacją stronnictwa, które ma większość w parlamecie. W myśl naszej Konstytucji system taki istnieje w dzisiejszej Polsce. Nie istnieją tylko warunki niezbędne do funkcjonowania rządów parlamantarnych. Nie mamy bowiem dwu wielkich stronnictw przeciwstawiających się sobie w charakterze stronnictwa większości rządowej i opozycji, ale cały szereg partyj i partyjek, których stanowisko po tej lub owej stronie stoi ciągle pod znakiem zapytania. W tym stanie rzeczy, przy nieustalowej i niejasnej większości, tworzenie rządu przez parlament staje się już nie naturalnym wynikiem jasnej sytuacji parlamentarnej, lecz procesem nieobliczalnym, dziełem przypadku i mniej lub więcej szkodliwych kompromisów. Że rząd powstały z takich doraźnych kombinacyj i „krakowskich targów" między różnemi partjami nie może być rządem silnym i konsekwentnym, to chyba nie ulega wątpliwości.

Parlament nie tylko tworzy rząd, ale go obala i zmienia. Wynika to z prawa kontroli, przysługującego parlamentowi i z odpowiedzialności rządu za swą polityczną działalność. *Votum* nieufności uchwalone przez większość parlamentu powoduje upadek gabinetu. Jest już rzeczą zwyczaju i praktyki, czy gabinet podaje się do dymisji po otrzymaniu *votum* nieufności od jednej tylko z izb prawodawczych. Często tak bywa, że brak zaufania ze strony izby niższej wystarcza rządowi do wyciągnięcia politycznych konsekwencyj. Jednak to nie jest konieczne i rząd mógłby się opierać przy pozostaniu na swem stanowisku, dopóki obydwie Izby nie uchwalą mu *votum* nieufności. W Anglji, odmiennie niż w innych państwach zachodnio-europejskich, upadek rządu nigdy prawie nie jest niespodzianką ani wynikiem przypadkowego głosowania. Tam rząd z reguły rozporządza stałą większością, która jego politykę popiera i podtrzymuje, zmiana zaś tej większości na mniejszość nie następuje z dnia na dzień, lecz wynika z wielkich zdarzeń politycznych, które zmieniają orjentację opinji publicznej w państwie. Rząd czując tę zmianę i obawiając się, że polityka jego stronnictwa nie uzyska aprobaty kraju, powoduje rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Większość, jaka się z tych wyborów wyłania, obejmuje ster rządów, deleguje premjera i członków gabinetu. Opozycja w angielskim parlamencie, widząc, że obalając rząd będzie musiała ująć władzę w swoje ręce i ponieść za to odpowiedzialność polityczną, walczy z rządem lojalnie, bez podstępów i sztuczek, bez wyzyskiwania okazyj i przypadkowych efektów głosowania. Tak się dzieje w Anglji, ale inaczej jest w Polsce. U nas, przy braku ustalonych wielkich stronnictw, decydujących o walce parlamentarnej, wszystko zależy właściwie od przypadku — zarówno powstanie rządu, jak i jego odpowiedzialność polityczna i jego upadek. Parlament polski w dzisiejszej jego formie nie jest w możności celowo i skutecznie kontrolować działalność rządu i powodować zmiany gabinetu. Nie mogąc zaś wyzyskać rozumnie nadanych sobie przez Konstytucję atrybucyj, musi tracić na powadze i znaczeniu. Gdyby zaś odebrać mu prawo kontroli nad rządem i decyzję co do zmiany gabinetu, to niema takiej instancji, przed którą rząd byłby odpowiedzialny za swoją politykę. Prezydent Rzeczypospolitej, który formalnie mianuje i odwołuje rząd, nie mółby być taką instancją, albowiem on sam wobec narodu nie ponosi politycznej odpowiedzialności. Skoro każdy jego akt jest kontrasygnowany przez premjera lub odpowiedzialnego ministra, przeto odpowiedzialność rządu przed Prezydentem Rzeczypospolitej byłaby czystą fikcją i w rezultacie władza wykonawcza w Polsce stałaby się dyktaturą.

Z powyższych rozważań nad zagadnieniem polskiego parlamentaryzmu wyprowadzam następujące ogólne tezy, wskazujące drogę naprawy: 1° parlament winien być przedstawicielstwem narodu, a nie ogółu obywateli państwa; 2° parlament winien się składać z dwu Izb prawodawczych — niższej i wyższej. Każda z tych Izb posiada pełnię praw w dziedzinie ustawodawstwa, lecz współdziałanie obu tych Izb nie jest konieczne do uchwalenia ustawy. Izby prawodawcze mogą kontrolować rząd drogą interpelacyj, lecz uchwalone przez nie *votum* nieufności nie zmusza *ipso facto* rządu do podania się do dymisji, lecz jest wnioskiem, idącym na wyższe rozpatrzenie. 3° Powinna być utworzona specjalna instytucja posiadająca charakter niezależności i stałości, której naród powierza nadzór nad działalnością zarówno parlamentu jak i rzadu. Instytucja ta byłaby Radą najwyższą dla Głowy państwa, w danym razie dla Prezydenta Rzeczypospolitej; jej wnioski i opinje co do ważnych posunięć polityki państwowej (zmiana rządu, rozwiązanie Izb prawodawczych, zawarcie traktatów międzynarodowych, kwestja pokoju czy wojny i t. p.) musiałyby być w pewnej mierze i przy pewnych warunkach dla decyzji Prezydenta Rzeczypospolitej miarodajne.

O władzy wykonawczej chcę tu powiedzić niewiele. W naszej opinji publicznej ustaliło się dość powszechnie przekonanie o konieczności silnej władzy w Polsce. Hasło wzmocnienia władzy Prezydenta Rzeczypospolitej rozbrzmiewa dziś z różnych stron i stawiane jest przez znaczną ilość stonnictw i grup politycznych. Nic słuszniejszego. Słabość władzy wyko-

nawczej w dawnej Rzeczypospolitej była przez długie okresy czasu niejako charakterystyczną cechą naszego państwa i niewątpliwie w dużej mierze przyczyniła się do jego upadku. Tej tragicznej nauki historji nie wzięliśmy jednak do serca w chwili odrodzenia państwa polskiego. Narzucony został wówczas Polsce przez tych, którzy się do jej odbudowy dorwali, system polityczny i ustrój państwowy, które, z haseł socjalistycznych i radykalno-demokratycznych zrodzone, silnej władzy dać Polsce nie mogły. System ten, mimo różnych przeobrażeń, zwrotów i zamachów, jakie się od dziewięciu lat dokonały, nie przestał dotąd ciążyć nad Polską niby grzech pierworodny jeszcze nie odkupiony, niepokojący grzech „moraczewszczyzny". I dotąd Polska nie ma silnego rządu. Twierdzenie to wyda się każdemu uzasadnione, jeśli rozważy na czem w gruncie rzeczy polega siła władzy rządzącej. Otóż rząd wtedy jest naprawdę silny, jeśli sam poddając się prawu, potrafi nietylko nakazać, ale wymódz powszechny szacunek i posłuch dla prawa. Jeśli rząd nie umie lub nie chce tego dokonać, to właściwie wisi w powietrzu i egzystencja jego zależy od byle jakiego przypadku. Prawo bowiem i tylko prawo reguluje na stałe stosunki między ludźmi, między rządzącymi i rządzonymi, między narodami i państwami. Władza nawet najbardziej stanowcza i najlepiej do czynu uzbrojona, jeśli traci kontakt z prawem i nie zmusza innych do poddania się prawu, pozbywa się istotnej gwarancji trwałości, która jest podstawą twórczej siły.

O trzeciej funkcji najwyższej władzy państwowej wspomnę tylko ustalając starą prawdę, że kardynalnym warunkiem dobrego funcjonowania władzy sądowniczej jest jej niezawisłość i niezależność zarówno od kierunków politycznych jak i od wpływów władzy wykonawczej.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

OBRAZKI Z „OLD ENGLAND"

SZLACHETNI LORDOWIE WOBEC POWSZECHNEGO GŁOSOWANIA I REFORMY ROLNEJ

(Benjamin Disraëli, Earl of Beaconsfield: *„Coningsby or the new generation"*) *)

Hieronimowi Tarnowskiemu, który zawsze zgodnie z głębokim duchem czasu, choć nieraz w rozbracie z powierzchownymi nastrojami środowiska, jako prawy syn starej, szlachetnej swej rasy, zrozumiał, wytrwał i spełnił.

DWIE sceny: maj 1832 r.—Kraków: „Bawiło podówczas—opisuje Paweł Popiel **)—w Krakowie wielu członków sejmu i czynnych w rewolucji ludzi: Andrzej Zamoyski, Wielopolski, Świdziński... i inni. Schodziliśmy się prawie codziennie i, jak zwykle w Polsce po wypadkach, rozbierali przeszłość, jej błędy i nadzieje. Jadaliśmy obiad w traktjerni „pod Wandą", naprzeciwko kościoła św. Mikołaja. Tego dnia, kiedy przyszła wiadomość o odrzuceniu billu (reformy parlamentarnej angielskiej w duchu demokratycznym, o upadku lorda Grey'a) i o powołaniu lorda Wellington, idę na obiad od miasta, a Andrzej Zamoyski od szpitala św. Łazarza. Nie mówiąc nic, rozkrzyżowawszy ręce, ściskamy się serdecznie, czując radość z tej wiadomości, a, obiadując razem, cienkiem węgierskiem winem podnosimy kielichy: *old England for ever*".

Maj 1832 r.—Londyn: *Hall* w pałacu księcia of Rutland. Ranek upadku gabinetu lorda Grey'a. Młody człowiek, bohater powieści Disraëlego „Coningsby", równie uroczy i wytworny, jak samże autor na młodocianym portrecie Maclise'a, czekając na jednego ze swoich przyjaciół, wspina się tymczasem na krzesło, aby naprostować wiszącą krzywo na ścianie podobiznę lorda Wellingtona. *„You are setting the duke to rights"*! (Pchasz pan księcia na prawo)"—woła wchodzący podczas tej operacji do pokoju John Wilson Croker. Croker—to wtedy już przeciwnik Disraëlego, wpływowy współredaktor potężnej *The „Quarterly Review"*, były współpracownik Wellingtona, u którego trzy lata wprzódy spotkał go był nasz Popiel,—człowiek zarozumiały, arogancki i nieżyczliwy. Macaulay powiadał o nim, że go w równym stopniu nie znosi, co zimnej cielęciny. Ewolucję demokratyczną społeczeństwa angielskiego Croker sobie zrazu lekceważył i tłomaczył Popielowi, siedząc koło niego na wspomnianym obiedzie u Wellingtona, że radykaliści nie mają gruntu w narodzie, ale tego ranka—9 maja 1832—nie wydawał się wierzyć w upadek Grey'a i powrót do władzy swojego i starej Anglji bożyszcza. Czy miał rację?

Tenżesam 9 maja 1832 r.: Popołudnie w *Carlton Club*'ie, kwaterze głównej konserwatystów, jak ta z której w październiku 1922 r. obaliło się było Lloyd George'a. Podczas gdy wiosenny Londyn burzyć się już poczynał na przemysłowo-robotniczych swoich peryferjach, tu jeszcze kwitnęły „rozmówki obywatelskie": „Jeżeli król okaże się twardym, a kraj zdrowym,—zwierzał się poseł Pringle panu Charles Rossowi — lord Hertford zaś (protektor Crokera) utrzyma wpływ swój przy starej ordynacji, nie dziwiłoby mnie, gdyby ten ostatni awansował na tajnego radcę". „Nie było dotąd precedensu,—skanduje w odpowiedzi Pringlowi *die-hard* Ross—ażeby podsekretarz stanu (Croker był nim w ostatnim gabinecie Wellingtona, w resorcie marynarki) zostawał tajnym radcą". „Żyjemy przecież w czasach rewolucyjnych"—konkluduje Pringle.—„Panowie,—przerywa im tymczasem na głos kamerdyner klubowy, wchodząc do pokoju—pragnę Panów uwiadomić, że książę Wellington jest właśnie u króla".—„Jest Opatrzność w niebie!"—wykrzykuje, słysząc tę wiadomość jakiś niespokojnie uwijający się jegomość, którego nominacja na lorda uległa była zwłoce wskutek nagłej dymisji Wellingtona w r. 1830.

Tenżesam 9 maja 1832 (zawsze w powieści Disraëlego): Obiad w pałacu lorda Hertforda: „osób—opisuje Disraëli — nie więcej, niż do dziewięciu, ale wszystkie rozumne, a niektóre z nich piękne". Gospodarz, stary pan w Hogarthowskim stylu *old England;* dwie damy, księżna Pawłowa Colonna, Włoszka mało

*) Autor niniejszego szkicu zaczerpnął z powieści Disraëlego „filmowe" — jeżeli wolno użyć takiego anachronizmu — odbicie Anglji ponapoleońskiej w momencie analogicznego kryzysu, jak jeden z tych, których już szereg przeżyliśmy w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Anglją powojenną rządzili wtedy najpierw konserwatyści—jak zawsze w konserwatyźmie—naprzemian i obok siebie: reakcjonarjusze i moderantyści, typu Derby'ego i typu Balfoura. Ba! można powiedzieć, że w ogniu tej walki z „wigh'ami" o reformę ordynacji wyborczej, która trwała piętnaście miesięcy, zrodził się nowoczesny konserwatyzm, nietylko angielski i—dlatego zrozumiemy, dlaczego tak żywo bijy serca Popielów, Wielopolskich, Andrzejów Zamoyskich i Świdzińskich na odgłos wypadków londyńskich.

**) „Pisma" (Kraków, 1893), II, 236.

intelektualna, ale obdarzona słodkim wdziękiem, przyrodzonym rasie romańskiej i pasierbica jej, dziecko prawie jeszcze, a już kobieta, dama i Rzymianka w każdym calu. Dalej—totumfacki księcia, nieodzowny Croker i paru jeszcze familjantów pośledniejszej sorty. Lord Hertford—zauważa bowiem Disraëli — „wdawać się lubił jedynie albo z wielkimi bogaczami albo z zupełnymi golcami: jednych uważał za równych sobie na *turf'ie*, w *Jockey'u i* w *City*, drugich używał do zabawy i posług. A nic go nie brzydziło i nie mierziło więcej, jak średnia zamożność". Z pierwszej kategorji widzimy na obiedzie owym u Hertforda jego przyjaciela lorda Londsdale'a, arbitra mód i obyczajów w guście Karola Zbąskiego ze „Sprawy Dołęgi"; z kategorji drugiej aż dwa egzemplarze: posła Dicka i Teodora Hooka. Dick—to cień życiowy Hertforda: szedł za nim poprzez Eton i Oxford, jeździł z nim razem na kontynent, siadywał przy nim na tarasie *Carltonu*, razem z nim wygrywał i przegrywał. A kiedy doszedł lat męża, mógł o sobie powiedzieć podobnie, jak u nas mawiał rzekomo najmilszy „kawaler" O.: „Nie miałem prawa, by zasiadać w Sejmie (O. mieszkał w Galicji, ale był poddanym rosyjskim), pan Adam (Potocki) wszakże kazał i posłem mnie wybrano!" Odmiennym był Hook: cieniej ociosany, „*Schöngeist*" w Polsce byłby został najpewniej redaktorem „Czasu". Rozporządzał on głosem muzykalnym i inwencją — wszystko, powiada Disraëli, dary, które rozstrzygnęły o powodzeniu jego w towarzystwie, ale zarazem zrujnowały go doszczętnie.

Obiad odbył się wedle reguł *fashion*'u, tak jak one uwiecznione zostały w pamiętnikach Popiela. Rozmowa—przy porcie i klarecie—pomijała świadomie politykę — jedynie zresztą w tych burzliwych dniach żywotny przedmiot—ze względu na damy i kręcącą się służbę. Czasem tylko aluzja, rzucona niedbale przez którego z tych lordów Paradoxów, zlekka zamusowała na powierzchni. Wówczas Lonsdale zagadywał ją, pytając panie o ranną ich przejażdżkę w modnej wówczas, z Rosji importowanej „bryczce", o importowane z Paryża mody. Dick dyskutował z wnukiem gospodarza, Etończykiem, o kolegjalnym wikcie i o tem, czy nie uległ on zmianie od lat jego młodości. Wkońcu gospodarz podniósł kielich za zdrowie Wellingtona. „O! co za człowiek—wykrzyknęła księżna.—Jaka tylko szkoda, że macie tu tę przebrzydłą Izbę Gmin. Anglja byłaby największym krajem na świecie, gdyby nie było tej ohydnej Izby Gmin, która tylko robi zamieszanie". „Niechno Pani nie wygaduje na naszą własność,—wtrącił lord Londsdale—Hertford i ja mamy do dyspozycji jeszcze dwadzieścia własnych głosów w tej izbie". „Tak więc—zakończył sceptyczny Hook—mnie się wydaje, że prawda leży jak na dłoni: lordowie upierają się przy swoich folwarkach wyborczych, a *commonery* chcieliby zostać lordami".

Nie pisze Disraëli, co dalej się stało, ale, choćby z relacji Popiela, domyślamy się, że księżna i hrabina, nie chcąc nadal krępować polityków, oddaliły się po wetach, a mężczyźni dalej zabawiali się butelką.

*

W tydzień po rozbiciu się misji Wellingtona, cofnięciu się króla, powrocie lorda Greya. *Reform-bill* jest już znów w siodle. Eton: Zapalone komentarze miejscowej młodzieży wokół pieczonej gąski, którą im *fag* (młodszy uczeń, spełniający funkcję służącego) przyniósł na stancję ze znamienitej restauracji Cristophera. Bohater (w 3/4-ch Disraëli), Millibank (anachronistyczny Gladstone), paru lordowskich synów. Rozmowa o przyszłej „reformie rolnej", konsekwencji *billu*.

Gladstone nietylko był anachronizmem w strukturze tej powieści, ale i w towarzystwie młodych Etończyków. Syn kupca szkockiego, „Oksfordczyk na powierzchni a Liwerpulczyk w głębi", purytanin, co ranka i co wieczora odmawiający w Etonie swój pacierz, nie cieszył się Gladstone sympatją wolnomyślnego Disraëlego. Tem mniej zaś wzbudzał zaufania u Littletonów, Mannersów czy Howardów. „Ładnieśmy wyglądali wszyscy razem w przeszłym tygodniu w Londynie — powiadali oni — dzięki... (tym) Manczesterczykom i Birminghamczykom". Gorący „reak", słynny później Aleksander Dundas, wówczas 18-letni, groził, że wielcy właściciele siłą odeprą wszelki zamach na ich majątki. Darmo uspakajał wzburzoną młodzież syn liberalniejszego Norfolka. Gladstone wszedł na tę kolacyjkę, jak Piłat w *Credo*:

— „Byłeś w Londynie, Coningsby?" — zapytał bohatera powieści.

— „A tak, byłem obecny w czasie całego tego bałaganu" — odparł Coningsby.

— „Musiałeś mieć widok osobliwy".

— „Istotnie, jeżeli za widok osobliwy uważa się widok szyb wytłuczonych przez *mob*. A przecież nie zdołali wytłuc ich mojemu dziadkowi. Monmouth-house wznosi się w dziedzińcu. Wszystkie szlacheckie domy powinny się wznosić w dziedzińcu!"

*

Dwa i pół roku później: początek listopada 1834 r. Polowanie na bażanty w Belvoir—castle księcia of Rutland. Sztab „Torysów" w komplecie. Rządy „*Reform—cabinet*'u" „Whigów" dobiegają do końca. Dwulecie ich było burzliwe: lewica i mniejszość irlandzka groźnie podnosiły głowę. *Trade-unioniści* nauczyli się manifestować pod oknami ministerjum, ekipa O'Connella po raz pierwszy pojawiła się w izbie gmin. Partja rządząca rozporządzała wprawdzie ogromną większością, opozycja właściwa była zduszona, ale „Whigowie" nie posiadali programu, którzyby na dłuższą metę zdolen był im zapewnić panowanie nad Anglją. W zakresie polityki wewnętrznej, wyeliminowawszy „Torysów" jeszcze za czasów królowej Anny, dążyli oni systematycznie do ograniczenia władzy królewskiej w myśl zasad sformułowanych chociażby przez republikanina Algernona Sidneya w jego „*Discourses concerning government*". Ale — jak słusznie stwierdza Disraëli — „Whigowie" chcieli uczynić króla dożą, a tymczasem „Genewa zastąpiła Wenecję", purytańska republika Cromwella skaziła i podminowała arystokratyczną republikę wczesnych „Whigów". Ten grzech pierworodny liberalnej koncepcji mścić się będzie i w ciągu następnych stuleci: współczesny Pittowi Burke wplącze Anglję w zasadniczą opozycję do Francji, bez względu na formę jej rządów, a i torysowskie gabinety chorować będą — aż po dni nasze — wskutek intoksykacji demokratyczno-republikańskiej.

Tak było i za dni Wellingtona. Pytaliśmy się wyżej, czy miał rację Croker, często zresztą, jak go w swej powieści maluje Disraëli, *esprit faux*, gdy mówił Popielowi na śniadaniu u feldmarszałka, że radykaliści nie mają gruntu w narodzie angielskim. Popiel sam — po pobycie w Anglji, na rok przed upadkiem Wellingtona — wydawał się być innego zdania. „Torysi" pokongresowi nie byli może, w równym stopniu, co francuscy *talons rouges*, ludźmi, co „niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli" — chronił ich przed tego rodzaju skostnieniem „zdrowy polityczny sens, jak go ma Anglik", niemniej jednak i sam Wellington, więcej ramię, niż mózg i Castlereagh, dusza

oporu przeciwko Napoleonowi, restaurator wespół z Talleyrandem Burbonów, współtwórca wespół z Aleksandrem Kongresówki, ale charakter słaby, zależny, niebronny względem strasznych przewrotów dziejowych, kończący podobnie jak paru innych współczesnych dyplomatów angielskich, niedość silnych pod względem zasad życiowych, jak Williams, jak Wroughton, samobójstwem i — wczesny jego antagonista Canning, filantrop na wewnątrz, liberał na eksport kontynentalny — wszyscy oni, w rozmaitych odmianach i gradacjach, byli „Torysami" z nazwy, z przekonania, ale bez konsekwencji w polityce, tembardziej, że — jak słusznie wywodzi Disraëli — „nie było (w ówczesnej Anglji) postępu w cywilizacji moralnej proporcjonalnego (do rozwoju cywilizacji materjalnej)". Nic też dziwnego, że światłe intencje poszczególnych *leader*ów: reforma walutowa Vansittarta, projekty ograniczenia bezrobocia — Castlereagha, a nadewszystko emancypacja katolików przez Wellingtona (bezpośredni pretekst ówczesnej podróży londyńskiej młodego Popiela) nie przeczyszczały, jak się należy, atmosfery moralnej.

Czuli to *leader*zy „Torysów", zgromadzeni fantazją Disraëlego na zamku Belvoir, ofiary *Reform-bill*u z r. 1832. Pocieszali się nadzieją powrotu do akcji czynnej. Nie było wśród nich najwybitniejszego — po śmierci Canninga — sir Robert Peel'a, który usunął się był, jak to opisuje Popiel, od życia politycznego właśnie po *bill*'u emancypującym katolików i bawił wtedy w Rzymie, ale pomniejsze *boss*'y i *whip*'y partji: znani nam już eksposłowie Ross i Pringle, publicyści Croker i Hook i t. p. „Ja jestem za rzuceniem hasła religijnego (na wybory) — zwierzał się współpartyjnikowi poseł Ross.—To nic nie znaczy, a, jeżeli chwyci, nie przeszkodzi nam w interesach, skoro raz będziemy w siodle". Pringle znowu, poparty w tej mierze przez lorda Fitzbooby (Harringtona), gotów był, dla zapewnienia sobie pewnych okręgów wyborczych, na kompromisy choćby z „narodowym kościołem" źle w ortodoksyjnej Anglji widzianych Metodystów.

To też — niema co mówić — ci przedstuletni konserwatyści z powojennego okresu szli do wyborów na platformie koncesji i kompromisów: *Tory men and Whig measures.* O ich wodzu powiada Disraëli: „Mógł dojść do władzy jako przedstawiciel pewnego *creda*, nie zaś jako przywódca pewnej konfederacji"... Wolał z materjałów obfitych kwantytatywnie, ale niedostatecznych *in all spiritual qualities*, „z wielkiej liczby morgów, uspokojonych co do swego jutra materjalnego, pozbawionych wszakże wiedzy, genjuszu, myśli, prawdy i wiary — tworzyć wielką partję zachowawczą na bardzo szerokiej podstawie".

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

BAROKOWE TENDENCJE U SŁOWACKIEGO

(Dokończenie)

FORMALNE badanie poezji nie wystarczy jednak jeszcze dla zrozumienia stylu poety.

5. Zagadnienie stylu łączy się ściśle w wypadku Słowackiego, z oddziaływaniem odwrotnem: z wpływem formy twórczości na treść jego poezji, na wybór tematów i ich przerabianie, dalej na wyraźną zmianę treści jego pojęć i wyobrażeń, a wreszcie także zwrócić należy uwagę na przetwarzanie się pod wpływem wzrastających tendencyj barokowych nawet ustosunkowania się poety do życia.

Tak, żeby zacząć od końca, widzimy jak poetyckie narowy Słowackiego zabarwiają swoiście jego stosunek, niezdecydowany i połowiczny, do kobiet; wystarczy tylko przypomnieć „W Szwajcarji", albo ową strofę w Beniowskim, gdzie poeta mówi o p. Bobrowej:

Ona... odgoni czarne cherubinów Stada...
Jeżeli ona mię jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny...

Ale natychmiast, porzucając ów pseudo-zapał miłosny, poeta przyznaje:

Ale to wszystko sen — i może smutny...

6. Specyficznie własny styl zachowuje Słowacki w stosunku do narodu. Nie będąc organizacją czynną, nie pragnie się on narodowi narzucać na kierownika, jednak biernie się poddać danemu momentowi narodowej historji też nie umie i nie chce.

Natomiast pojmując intuicyjnie dynamiczny charakter dziejów, stara się poznać logikę historji i wyczytać z niej testament wieków dawnych, a swoją twórczość poetycką pojmuje wręcz jako taką właśnie pracę odcyfrowywania przeszłości. Nie wystarczają mu jednak subjektywne kryterja, i przeważnie udaje mu się odróżnić suggestję gorącego serca od zimnej wymowy faktów.

Nader pouczający w tym względzie jest wiersz:

O bracia moi, kiedy krzyżem leżę
I proszę Boga o kraj, o człowieka,
To mi się zdaje, że tętnią rycerze
I wróg z piorunem przed nimi ucieka...
Chcę iść — lecz kiedy na blask gwiazd wynidę,
Gwiazdy mię drwiąco pytają. Gdzie idę?
O gwiazdy zimne, o świata szatany,
Wasze mię wreszcie niedowiarstwo zwali.
Już prawie jestem człowiek obłąkany,
Ciągle powiadam, że się kraj już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
— A to się pali tylko serce moje!

Jeszcze lepiej maluje nam walkę uczucia patrjotycznego z rzeczywistością i bezwładem życia narodowego poemat „Poeta i natchnienie", będący w swej najważniejszej części jakgdyby przełamanym w psychice Słowackiego problematem „Improwizacji" Mickiewicza. Centralne miejsce zajmuje tu przypowieść o ptaszkach, będąca wedle poety „wielką nauką i przestrogą", zesłaną mu przez Boga. Zgoła nieprawdopodobna scena podnoszenia z ziemi zmarłego ptaszęcia przez ropziców, urasta w oczach poety do wysokości paraboli, charakteryzującej jego własną żądzę patrjotyczną „dźwignięcia i uszczęśliwienia" zmarłej Ojczyzny.

O tak, nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę...
Potargam wprzódy ją pieśnią na pierze...
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła...
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo aż gdzie Pan Bóg świeci,
— Puszczę, jeżeli żywa to poleci!

Czy Słowacki, pisząc te wiersze, dostrzegał ich zdumiewające podobieństwo do zaklęć Mickiewicza: „Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył... Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić"? Trudno z pewnością orzec, bo przecież istota ustosunkowania się obu wieszczów do postawionego zagadnienia jest wręcz odwrotna. Mickiewicz

pragnie swą wolę narodowi narzucić i przeszkody widzi jedynie poza sobą — w ludziach, oraz w Bogu, gdy tymczasem Słowacki dostrzega konieczności bytu narodowego i doskonale pojmując całe niepodobieństwo swego patrjotycznego porywu, pisze dalej:

> Dziecinna to myśl, co? duma dziecinna,
> Jam się sam rozbił piersią o granity...

To też Słowacki nie wpada, tak jak Mickiewicz, w rozpacz i nie dochodzi do bluźnierstwa. Do tego on poprostu nie był zdolny, gdyż przewidywał zgóry konieczność rezygnacji i poskromienia swego egzaltowanego patrjotyzmu.

7. Nie zawsze jednak poeta dopuszcza do głosu to poczucie rzeczywistości, bo nie zawsze chce i umie być sobą. Owszem, czasem, ulegając wpływom zewnętrznym, bierze na się maskę entuzjasty, ale ją pierwej czy później zrzuca; tak było n.p. w towianizmie, w epizodzie poznańskim, może też w spotkaniu z Makryną... słowem wszędzie tam, gdzie się Słowacki przejął wichrem rewolucji, tendencjami przełomu i przewrotu, w tej domenie typowo-Mickiewiczowskiej, którego rozwój szedł przez rewolucje. Tymczasem wybitnem piętnem psychiki Słowackiego była skłonność do ewolucji, i stąd jego patrjotyzm zabarwiony jest silnie poczuciem konieczności narodowego bytu, co usuwało wręcz z jego świadomości problemat „być albo nie być“ w stosunku do narodu, tak w romantyzmie modny. Wedle Słowackiego w haśle tem „rozpacz i sceptycyzm polityczny siedziały“. Natomiast godnem narodu stanowiskiem może być jedynie: „jestem, bo jestem“, hasło, „Bogu samemu i duchowi zeń idącemu służące“ *). To też nawet mesjanizm Słowackiego jest o wiele bliższy życiu, niż wierzenia innych naszych mesjanistów, gdyż za wcielenie Polski historycznej bierze on świadomie postać pełną wad, Samuela Zborowskiego, potwóre, równie świadomie, czyni ją personifikacją zbiorowości nie zaś jednostki, potrzecie wreszcie, powołuje się nie tyle na zasługi historyczne Polski („choć ma pisane na to dokumenta“), ile na wolę narodu osiągnięcia górnego ideału, gdyż

> ...Ta pochodnia i tęczowa karta
> Musi być przez nas niebiosom wydarta,
> A nie przez cud tu zlana być na duszę.
> ...Nam pomyśleć o tym diamencie
> Trzeba, a nie zaś czekać go od Boga **)

Ale nietylko pojęcie cudu zwalcza Słowacki; przeciwstawia się on także tak popularnemu w romantyzmie hasłu jak czyn, w imię pracy, która jedna tylko potrafi nas zaprowadzić do owego miasta Św. Jana, „które po ciemnych niby mgłach powoli kroczy“. Ten wyraz: praca — w wielkiej naszej poezji pojawia się po raz pierwszy właśnie u Słowackiego (w wierszu do L. Norwida) będąc zwiastunem przezwyciężenia romantyzmu.

8. Wiecznie czujna myśl krytyczna zabarwia też stosunek Słowackiego do Kościoła. Nie kwestjonując całej dobrej woli, którą ujawnia poeta wobec Kościoła w dążeniu do osobistego przeświadczenia o Jego prawdzie, w wyrabianiu w sobie t. zw. „wiary widzącej“, trzeba jednak stwierdzić, że pogląd jego na Kościół, ulegając wpływom Towiańskiego i Mickiewicza, nie jest wolny od tendencyj protestanckich. Przeciwstawia on bowiem Kościół aktualny, który nazywa „urzędowym“, jakiemuś idealnemu, w imaginacji jego jego jedynie istniejącemu Kościołowi, który poprowadzi przyszły „Papież Słowiański, ludowy brat“. Wedle poety „Kościół Katolicki jest zaczarowanym posągiem, a czeka oświecającej błyskawicy“ („Lamus“ III). Kiedyindziej zaś nazywa Słowacki Kościół Katolicki „straszną siłą i potężnym aniołem czynu“, ale dopiero potencjalnie, gdyż Kościół „nigdy nie ukazał się wolny, ale zawsze w łańcuchu na rękach i nogach wlókł się za wypadkami Świata“. I dalej stwierdza:

> „My nie śmierci owego anioła, ale uwolnienia z więzów prosić przyszliśmy, siły z Ducha Świętego płynącej upragnieni... Z palmami wiosennemi przyszliśmy zapukać do drzwi zamkniętych (!), i rozśpiewamy powietrze duchem Bożym, aż się obudzi Kościół i wystąpi jako wódz nasz nieśmiertelny, a żadnej z sił ducha naszego nie wyprzemy się, ani nawet wolności sumienia i rozsądzania, ale się poddamy jedynej prawdzie i duchowi Kościoła właśnie dlatego, że wolni szatanowi nawet służyć możemy“.

Na szczgólną uwagę zasługuje w tym fragmencie mocne podkreślenie niezależności duchowej, która cechowała Słowackiego przez całe życie, ale równocześnie uderza dziwna i przesadna obawa przed rzekomo mogącemi mu grozić zamachami na wolność; to też trzeba stwierdzić, iż przy widocznym wysiłku poety do słusznej oceny Kościoła, brak tu zrozumienia jego dziejowej roli i uznania Opatrznościowego jego kierunku.

9. A teraz wróćmy jeszcze raz na chwilę do towianizmu i zapytajmy, czy owa próba stłumienia w sobie krytycyzmu, próba ascezy umysłowej, którą był niewątpliwie, jakeśmy to wspominali — towianizm, dała w wypadku Słowackiego jeno rezultaty negatywne? Ta wolność, samodzielność duchowa, ów stały krytycyzm, którym się zawsze tak wybitnie odznaczał Słowacki, były przecież nawskroś obce atmosferze ciągłego przymusu mozolnego, panującej w Kole, oraz jego ciasnocie. To też—na szczęście — poeta charakteru swego nie przerobił, a nawet wręcz wystąpił z Kołem do walki, przedewszystkiem za jego t. zw. „dążność rosyjską“. Czy jednak z pobytu w Kole nic pozytywnego poeta nie wynosi? Odpowiedź na to daje nam znów on sam; oto stwierdza:

> „Dusza moja była pełna skarbów oddawna, lecz nie było w niej miłości i dlatego sama jadła wnętrzności swoje, nie mogąc skądinąd brać pokarmu.“

Dzięki towianizmowi tedy Słowacki zdobywa i wypracowuje ów cement, mogący połączyć w duszy jego wszystkie elementy, składające się na nią, cement miłości. W listach poety jedno pojęcie i jeden wyraz zdobywa teraz szczególne prawa obywatelstwa, dotychczas nigdy w tym stopniu mu nie przyznawane. Wyrazem tym jest — serce... „Kawałkiem szkła błyszczącego“ nazywa poeta to serce swoje i stwierdza, że teraz dopiero ono „musiało się ruszyć“. I oto Słowacki w l. 1842-4, jak sam powiada, „łamie w sobie kości wewnętrzne“, „wymiata ze siebie starego człowieka“, poddaja się nakazowi przymusowej dyscypliny, słowem przeżywa najintensywniejszą pracę duchową, polegającą na oczyszczaniu własnego „ja“, na odrzucaniu wpływów postronnych, na dopracowywaniu się prawdziwej oryginalności, a uzewnętrznioną w stylu przesadnie prostym, nieledwie prymitywnym, chropowatym i niepewnym, robiącym wrażenie, że poeta uczy się dopiero pisać. Dąży on teraz tak w poezji, jak w życiu do „stopienia wszystkich farb w jed-

---

*) II. list do A. Czartoryskiego, wyd. Gubrynowicza X, 284-6; porównaj też VIII, 333-4. Nadzwyczaj ciekawą pod tym względem zbieżność dostrzegamy pomiędzy Słowackim—a Dmowskim, który takiem samem oburzeniem patrjotycznem reaguje na podobne słowa „Warszawianki“ („Dziś twój triumf, albo zgon.“): „Sama myśl o tem, że Polska może skonać, jest zbrodnią“ („Polityka Polska“ wyd. I, 56.)

**) Szczegółowo przedstawiam mesjanizm Słowackiego w osobnej pracy, która wkrótce wyjdzie w druku.

nym miłości Bożej diamencie", do ujęcia „tęczowej myśli w karby", do pozostania chociaż przez chwilę „w czystym bezkolorze".

10. Z próby tej wychodzi zwycięsko!

Owocem tego zwycięstwa jest przedewszystkiem własna filozofja genezyjska, konsekwentnie łącząca całokształt zagadnień, obchodzących poetą. Potrzeba takiej filozofji było logicznym postulatem rozwoju Słowackiego, który zawsze łaknął osobistego przeświadczenia, by móc uznać jakieś twierdzenie za prawdę, co była dlań zawsze przeżyciem wewnętrznem, nie zaś rzeczą gotową, mechanicznie przyjętą z zewnątrz. Następnie potrzeba tego rodzaju filozofji wypływała ze skłonności poety do łączenia praktyki życia z teorją w jedno. „Cel patrjotyczny chciałem zgodzić z celem duszy mojej", powiada gdzieś (X, 213) wyraźnie. Teraz tedy buduje Słowacki monistyczną filozofję ducha, będącą systemem jego pojęć o przyrodzie, o Bogu i o człowieku, jego kosmogonją, teologją, socjologją i historjozofją.

Filozofję tę swoją próbuje Słowacki wyrazić w systematycznym wykładzie, a także w wielkiem „Misterjum" dramatycznem (zwanem dotychczas „Samuel Zborowski"), będącem pierwszą próbą poetycką syntetycznego ujęcia jego filozoficznych pomysłów i zastosowania ich do dziejów Polski. Lecz dopiero w utworze epicznym, najbardziej zgodnym z barokową tendencją powiedzenia wszystkiego, niekrępowania się żadnemi względami formy, wylewa się ostatecznie wiedza Słowackiego o świecie.

W „Królu-Duchu" bodaj po raz pierwszy Słowacki wypowiada się całkowicie, czuje się w zupełnej zgodzie z samym sobą i jest zupełnie oryginalny. Stwierdza zresztą to sam:

> Moją własną kwitnącą naturą
> Nieznane dotąd oceany porę...

Bo też tu dopiero daje poeta upust wszystkim swoim skłonnościom barokowym do łączenia absolutnej wolności i subjektywizmu z wykresami objektywnego poznania; plastyki malarskiej — z sennemi widziadłami, najwyższej fantastyczności, „nieujętej w żadne karby" — z efektami nawskroś realistycznemi; bajki z prawdą historyczną i psychologiczną; wreszcie marzenia — z przekonaniem. Słowacki tu spaja w jedno: życie narodowe z życiem osobistem, przez co nadaje dziejom piętno niebywałej bliskości, oraz wiąże świat zmysłowy z zaświatem, zacierając niejako między niemi granicę. Wszystko to umożliwia przenikanie się wzajemne pierwiastków napozór zupełnie sobie obcych i realizację absolutnej wolności poetyckiej, której pełniejszego wyrazu nie zna poezja wszechświatowa.

11. Na koniec zachowałem zagadnienie, odgrywające w życiu i twórczości Słowackiego rolę pierwszorzędną: sprawę jego stosunku do Mickiewicza. Kwestja to tem ciekawsza, iż z niej wypływa niemal automatycznie odpowiedź na pytanie: co nam daje poezja Słowackiego?

Powtarzamy oto bowiem niemal do znudzenia słowa Krasińskiego o Mickiewiczu: „My wszyscy z niego!" Niewątpliwie. Ale co w gruncie rzeczy te słowa oznaczają? Jakiż praktyczny nakaz z nich wynika? Czy ten, iż winniśmy na Mickiewiczu się wzorować? Czy też właśnie przeciwnie: nakaz oryginalności i twórczości?*) Zdawałoby się, iż odpowiedź jest prosta. Wszakże my chrześcijanie, mamy Mistrza który do każdego z nas przemawia: Idź za mną! Ale poprzedza te słowa innym rozkazem: Weź t w ó j krzyż — i dopiero wtedy idź za mną! Na tem też winien polegać wszelki przykład z góry: to jest nakaz oryginalnego, samorodnego trudu i twórczości.

Mickiewicz był dla Słowackiego przez całe życie twórczem i niepokojącem *„memento."* Problemat ustosunkowania się wobec wielkiego współzawodnika był niewątpliwie najbardziej palącem zagadnieniem jego życia i twórczości. Zachować cześć dla Mickiewicza, a nawet uznać jego wyższość nad sobą, nie tracąc jednocześnie nic z własnej niepodległości i wewnętrznej wolności — oto jak stawiał zagadnienie Słowacki (porównaj ustosunkowanie się poety do Narodu czy do Kościoła). A trzeba przyznać, iż ze swej strony Mickiewicz nie robił nic, aby sytuację ułatwić. Owszem, wyraźnie lekceważył Słowackiego i nie oszczędzał jego dumy własnej. Nie znosił on bowiem obok siebie indywidualności wyraźnych, odbiegających od linji jego własnego rozwoju („...niechaj cierpią i przepadną"... „...niech idzie tam, gdzie my idziemy..."). To też zajęcie właściwego wobec Mickiewicza stanowiska przychodziło Słowackiemu z nadzwyczajnym trudem. Dopiero też na samym schyłku życia, właściwie zaledwie w „Królu — Duchu", ułożył poeta swój stosunek do współzawodnika definitywnie, rozstrzygając zagadnienie na najwyższym poziomie, przeciwstawiając go sobie, prawda, ale zawsze — w postaci Zorjana, Piasta i Biskupa, — wywyższając go nad siebie. I to właśnie zwycięstwo nad samym sobą, było właściwie pierwszem i decydującem zwycięstwem Słowackiego nad swymi współzawodnikami.

12. I jeżeli z tego punktu spojrzymy na zagadnienie wpływu Mickiewicza i Słowackiego na nas, to dojdziemy do przekonania, iż właśnie Słowacki dziś nas więcej uczy, gdyż jego wpływ jest koniecznem sprostowaniem tych niebezpieczeństw, które mogą tkwić w jednostronnem poddaniu się wpływowi Mickiewicza, bo dopiero poezja Słowackiego stwarza dokoła nas ową atmosferę wolności, bez której wszelka twórczość jest nie do pomyślenia. Dopiero wtedy wpływ Mickiewicza jest prawdziwie pożyteczny, jeśli się załamuje w duszy tak, jak się układał w duszy Słowackiego. Cześć i niepodległość — powiedziałem kiedyś o ustosunkowaniu się Słowackiego do Mickiewicza. I rzeczywiście, dzięki tym właśnie cechom, Słowacki, ten rywal i antagonista Mickiewicza, najlepiej go potrafił ocenić i zrealizować w swej duszy.

I ta oto właściwość charakteru i poezji Słowackiego jest dziś dla nas najcenniejszą po nim spuścizną. Uczy nas bowiem ona, jak można zachować wielkość i niepodległość przy czci najwyższej dla wyższości, umieć iść za wodzem duchowym, niosąc krzyż własny.

A twórczość ta w całem swem bogactwie i rozmaitości może być pojęta jedynie przez poznanie stylu poety, którym jest s t o p n i o w o r o z w i j a j ą c y s i ę b a r o k, będący emanacją najwyższej wolności w sztuce. Nie można zamykać jednak oczu na to, że tak w życiu, jak i w poezji Słowacki odbiegał do końca, raz po raz, od pełnych konsekwencyj baroku, ulegając atmosferze czasu, oraz przedewszystkiem wpływowi swego wielkiego przeciwnika, Mickiewicza, tak bardzo w swym stylu duchowym odmiennego od Słowackiego. To też dopiero Norwid, wolny od zapędów egzaltacji romantycznej, da nam pełniejszą i bardziej konsekwentną, niż to czyni Słowacki, współczesną próbę realizacji baroku w polskiej twórczości literackiej.

Wilno. STANISŁAW CYWIŃSKI

*) Porównaj identyczny problemat w „Tyrteju" Norwida.

KARCZMA NA ROZDROŻU

Osoby:
Kaspar
Melchjor — rybałci
Baltazar
Przygodny, rybałt
Karczmarka
Ciżba

I

RYBAŁCI

Długo-li będą siedzieć, nito kpy, ni dziady,
w puste po miodzie garnce zapatrzeni gnuśnie?
Kaspar czka, aże huczy, Melchjor trupio blady,
legł i ziewa, Baltazar — ino patrzeć — uśnie.

Urodziwa karczmarka we biodrach się gibie,
ściera zydle dębowe u stołu się krząta. —
Owa! Któryż się porwie i dziewkę przydybie,
ułapi, w szyję cmoknie, zaciągnie do kąta?!

Czyjś wąs sumiasty jeszcze na dnie szklenic moknie,
czyjeś łzy poniewoli zasrebrniały, chlusły.
...A księżyc, obieżyświat, rozparłszy się w oknie,
markoci, że rybałci posnęli, jak susły!

II

PÓŁNOC

Trucht Dwunastu Odbieżeń aksamitnie człapie,
Gon Dwunastu Przybieżeń rozebrzmiewa — grzmotem —:
wyniebieszcza się — niebo na kurnym pułapie,
w pośród nieba-pułapu gwiazdy świecą złotem.

Odgłos kołace w ściany, by w zaklęte wrótnie:
raz, dwa, trzy, cztery... — słabnie i bije o węgły.
Ciszej: ja śpiewać będę, ja którym jest: Lutnie,
ja rozkołysam struny, co się z dalą sprzęgły!

Dźwięki, skrzydlate dźwięki, tam u tronu proścież,
ścielcie się do stóp Pańskich, przeźroczcie się strugą!
— Co to? Pjany wstał Kaspar, rozwarł dzwi na oścież
i woła, na gamratkę, przeciągle i długo!

III

BRZASK

Mknie gościńcem Zbudzenie konno i koleśno,
tnie topazowe bazie słoneczny buzdygan,
a biała wierzba klęka przed zorzą niebieśną,
jak Ziemowit, w anielskiej godzinie postrzygan.

Rozdroża się tętentem, kurzawą zamiotły,
z pylnej wywionął chmury korowód buńczuczny,
błysły krase jarczaki, pobrzęknęły kotły,
prześmignęli: Mieczowy, Kopijny i Łuczny.

Sunie teraz wspaniale husarska chorągiew,
towarzystwo śpiewają: Myśmy Pańską strażą!
—Kaspar, Melchjor, i Balcer ciągną wina stągiew,
przy obfitej zastawie rybałci się swarzą.

IV

POŁUDNIE

Spływa ze szczytu słońce na człowiecze prace,
uśmiecha się złociście w najlichszem rzemieśle
i zagrzewa młynarzy zbłękitniałych w młace
i kowala przy miechu, nad ciesiołką — cieślę;

Wciska się między żaków, gdzie otwarta księga,
z kupcem odmierza bławat i ciuła czerwieńce,
garbi się, dratwę ciągnąc, ni szewska mitręga,
siada w polu i zważa, jak się znoją żeńce.

Lub w gwarliwej piekarni ciasto miesi, kształci,
aby zeń chleb powszedni i kołacze wypiec.—
Phi! Przed karczmą na przyzbie zasiedli rybałci
i pasorzytnie ciągną z czar dostały lipiec.

V

ZMIERZCH

Wieczór magliste ma ciżmy, rosną trzęsle brodą,
z wioskowych szepcze dzwonnic o zbożnym Zwiastunie,
ćwierka ponad łęgami, kumka ponad wodą
i ściele do snu dniowi w pałającem runie;

rozchełsta blask na gwiazdach, zżegł niewidny czepiec,
uroczy lękiem brzozę, że biała, jak pomór —
i do dziewek u płota przylepia się, lepiec,
i przymawia rozpustnie, i wlecze do komór.

Wodzi do karczmy ciżbę, klaska na podworcu...
zapala stoczkiem lampę, zasuwa wrzeciądze. —
— Kaspai, Melchjor i Balcer znaleźli się w korcu:
piją olkuskie piwo — za cudze pieniądze!

VI

POGWARKI

Kaspar: Dawniej, bywało, zagrzmią trąby, tołumbasy,
dzisiaj płużą wieszczowi: piszczałka i duda,
dawniej pieśń lała słodycz, dzisiaj — cedzi kwasy,
boć to jeno popłaca, nie wzniosłość, nie cuda!

Melchjor: Ano, mosanie Kaspar, jušci macie słuszność:
cóż ninie snów nieziemskich djamentowa zamieć
i cóż pięknienie z Ducha, gdy oto bezduszność
wżera się w życie ludzkie i każe mu chamieć!

Baltazar: Tu ja, wreszcie, dorzucę, przywtórzę:
w Krzyżu, który się blaskiem nad sztuką rozpina.
zgasimy Pion jarzący, żeć wzlata ku górze,
i rozłagwimy poziom. Hej, gosposiu, wina!

VII

GŁOS PRZYGODNEGO RYBAŁTA

I chociaż was na świecznik stawiono, dźwignięto,
choć uczczono szabaśnie, cerkiewnie i chramnie,
choć wasze bytowanie — wywczasy i święto,
wołam, żeście nie dla mnie, nie dla mnie, nie dla mnie!

Wyciąćby was, jak w boru nieżyczliwe gąszcze,
wyplenić, jak zły kąkol zaczajony w zbożu,
zniszczyć siarką i ogniem, jako szkodne chrząszcze,
towarzysze rybałci z karczmy na Rozdrożu,

Dobry mi dzbaniec z wodą i biały kęs chleba,
bylem słyszał „Niech będzie pochwalony“ wsioskie,
byleby uwierzono, że przybliżać trzeba
do Boga — co człowiecze, do ludzi — co boskie!

Kwiecień 1928

JANUSZ KAWECKI

KONFISKATA

Nr. 17 „Myśli Narodowej", w dniu 13 bm. został skonfiskowany przez Komisarjat Rządu m. Warszawy za „Liberum veto" Aleksandra Swiętochowskiego.

Zamiast artykułu, który był powodem zajęcia, dajemy wiersze Janusza Kaweckiego.

Nowe wydanie nosi nr. 18.

GŁOSY

IRRACJONALNE MOMENTY NASZEGO KRYZYSU PAŃSTWOWEGO

POLSKI kryzys państwowy nie jest zjawiskiem odsosobnionem we współczesnym świecie politycznym, posiada jednak cechy specyficzne: jest szczególnie przewlekły, długotrwały i co najważniejsza, nie wykazuje żadnych znamion twórczości politycznej. Nie jest on przesileniem politycznem, któreby torowało drogę nowemu porządkowi rzeczy, lecz w miarę trwania pogłębia się i rozszerza, powodując coraz większe niedomaganie organizacji państwowej. Nie stanowi przeto etapu rozwoju państwowości, burzy stare formy, ale nie wytwarza form nowych. Nie jest więc polski kryzys państwowy zjawiskiem opanowanem, kierowanem przez myśl i wolę, dlatego staje się chronicznem niedomaganiem państwa, nie zbliża nas do jedynego, jaki może być, celu: normalnych stosunków państwowych.

Nie uważamy tego celu za niedościgły, ani nawet za zbyt oddalony; trzeba tylko go sobie uświadomić i odpowiednio do tego swoje działania uracjonalizować; inaczej zbliżyć się doń niepodobna. Inne narody przeżywają trudności państwowe, a jednak znajdują z nich wyjście. Nie uważamy, by naród polski miał mniej od nich zdolności państwowych, i naród nasz, bez wątpienia, znajdzie formy organizacji swego zbiorowego bytu. Ostrość i przewlekłość dzisiejszego kryzysu nie jest zjawiskiem organicznie polskim, jest on skomplikowany przez przyczyny zewnętrzne, mechaniczne, przypadkowe powiedzmy. Są to irracjonalne momenty naszego kryzysu państwowego, momenty, zależne nie od myśli i woli, lecz od nastrojów i odruchów.

Nie wydaje się, by w Polsce zagadnienie rządu było specjalnie skomplikowane, bardziej skomplikowane, niż w innych państwach współczesnych. Dlaczego jednak zarysowuje się tak ostro stosunek władz w dzisiejszej Polsce? Odpowiedź może być jedna: do zagadnienia wmieszane zostały w sposób najniewłaściwszy elementy irracjonalne uczuciowej natury.

Ustosunkowanie się do rządu lub parlamentu dodatnie czy ujemne, uległo w Polsce zabarwieniu uczuciowemu, podczas gdy chłodna refleksja musiałaby uznać i jeden i drugi czynnik za niezbędny czynnik organizacji państwowej i tylko pod kątem widzenia organizacyjnym rozpatrywać stosunki władz.

W ostatnich czasach mówi się tak dużo o państwie i stanowisku państwowem, ale ci, którzy to mówią, mają sami najmniej zmysłu państwowego i odczucia potrzeb państwowych; widzą oni w rządzie i parlamencie jakieś rywalizujące z sobą potęgi, a nie poprostu organy państwowe, oba podporządkowane państwu.

Stąd płynie niezrozumienie np. warunków pracy parlamentarnej i zwalczanie parlamentu, co przecież prowadzi nie do realnej pracy państwowej, lecz do donkiszoterji politycznej, walczącej przeciwko koniecznościom historyczno-politycznym.

Stosunek uczuciowy do rzeczy płynie z przeszłości, lecz racja stanu rządzi się nie retrospekcją, ale planową akcją, której celem jest przyszłość. Taż racja stanu każe przejść do porządku dziennego nad sentymentami, związanemi z przeszłością. Tak więc, instytucje państwowe, jak parlament, muszą być oceniane nie z punktu widzenia tych czy innych momentów, należących do przeszłości, lecz niezależnie od nich, w swej wartości ogólnej.

Momenty irracjonalne utrudniają i hamują rozwój państwowy, są one synonimem zastoju, wielokrotnie przeżuwane, nie przynoszą nic nowego. Od tych elementów musi być wyzwolone życie polityczne Polski i wyzwolone ono będzie, gdyż racjonalizacja życia jest nakazem tego życia. Im prędzej oczyści się od dodatkowych elementów nasz kryzys państwowy, tem prędzej straci on sztuczną swą komplikację i wyjdziemy na drogę normalnego rozwoju ze wzrokiem skierowanym ku przeszłości Narodu.

Wilno WACŁAW KOMARNICKI

BILANS

WYWIAD, udzielony przez marsz. Piłsudskiego redaktorowim „Głosu Prawdy", wyjaśnił jedną z najbardziej intrygujących zagadek, jakie narzuciły się opinji po dojściu obozu sanacyjnego do władzy. Mamy na myśli stanowisko tego obozu w sprawie wzmocnienia władzy Prezydenta Rzeczypospolitej.

Zadziwiało, że w obozie, tak pod względem poglądów na sprawy ustrojowe niejednolitym, co do tego jednego postulatu różnicy zdań niema, że pp. Sapiehowie, Makowscy, Kościałkowscy, Gliwice, Sanojce, Mackiewicze najzgodniej przy nim obstają, że wszyscy tę reformę uważają za najważniejszą i wszyscy ją pojmują jednakowo.

Jeszcze więcej zadziwiało, że hasło to było forsowane w oderwaniu od wszelkich innych projektów reformy ustroju, jakby miała sens zmiana Konstytucji w tym jednym szczególe przy pozostawieniu całości bez zmiany. Istniała jednak w obozie pomajowym granitowa pewność, że absolutnie konieczne jest wzmocnienie władzy Prezydenta, gdy wszystko inne przedstawiało się niejasno i niepewnie. Brak przeświadczenia co do potrzeby zmiany ordynacji wyborczej, kompetencji senatu i t. d. paraliżował wszelką inicjatywę zmian w tym kierunku ze strony grupy BB jako całości. Godna uwagi wydawała się tu wyjątkowa indywidualność obozu politycznego, zdolnego do

twórczości, ale tylko w jednym dziale prawa konstytucyjnego.

I ta twórczość klubu przy całem swem ubóstwie uprawniała wielu do daleko sięgających nadziei.

Wielu ufało, że któregoś dnia obóz sanacyjny poczuje się na siłach do obmyślenia i wcielenia w życie całokształtu reform ustrojowych, skoro zdobył się już na jeden wniosek w tym względzie. Uważało się w każdym razie, że to obóz zdolny do jakiegoś autorstwa.

Otóż sprawa przedstawia się odmiennie, a wyjaśniło ją oświadczenie marszałka Piłsudskiego. BB nie jest autorem tej jedynej idei, którą mu przypisywano.

Z ogłoszonego wywiadu wynika, że orędując sprawie wzmocnienia władzy Prezydenta obóz sanacyjny spełnił tylko funkcję głośnika względem poglądów b. premjera. Za największe bowiem zło w obowiązującej Konstytucji uważa marsz. Piłsudski dzisiejsze położenie prawne Prezydenta. „Prezydent w naszej Konstytucji jest postawiony w sytuację najbardziej fałszywą, jaka dla człowieka stworzona być może“ „...Naród przez swą konstytucję postępuje z człowiekiem wybranym, który moralnie — będąc jedynym i stojąc najwyżej — odpowiada przed historją, postępuje tak nikczemnie, jak nie postępuje nikt w świecie, nawet ze swoją utrzymanką, lub z osobą najzupełniej od siebie zależną“. Tak zdecydowane poglądy ma na tę sprawę marsz. Piłsudski, a nie sposób przypuścić, aby to BB zaraziło marszałka siłą swego zbiorowego przeświadczenia.

Po wywiadzie zrozumiałe się stało, czemu ta część programu reformy ustroju BB, wszystkim jednakowo trafiła do przekonania i czemu poza tym jednym szczegółem nic więcej nie wymyślono — wyjąwszy takie ze stanowiska prawa konstytucyjnego drobiazgi, jak zastąpienia konwentu senjorów... przez naradę przewodniczących klubów sejmowych.

Okazuje się więc, że BB nie jest to ekscentryczny klub jednej idei, umiejący radzić tylko o wzmocnieniu władzy Prezydenta. Taka ekscentryczność przechodziłaby siły klubu, króry nie jest nawet autorem swojej jedynej idei, i samodzielnej twórczości na polu reform konstytucyjnych nie rozwinął, jak teraz wiadomo, literalnie żadnej.

Tłumaczy się to oczywiście racją istnienia bloku. Własna impotencja najlepiej go cementuje. Składają w nim jeszcze ci owi swoje nadzieje na reformę ustroju, a on z trwogą przed swoim końcem oczekuje dnia, kiedy po raz pierwszy coś w sprawach konstytucyjnych uchwali.

C.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Oświadczenie b. premjera Piłsudskiego — Wywiad marsz. Daszyńskiego — Nowy rząd w Niemczech — Bezskuteczne rokowania z Litwą.

W OKRESIE pustki wakacyjnej, kiedy sesje izb prawodawczych są zamknięte, a mężowie stanu bądź udali się już na letnie wywczasy, bądź przynajmniej, w zrozumieniu olbrzymiej doniosłości zagadnienia, najwszechstronniej i najskrupulatniej rozważają kwestję, dokąd wyjechać, tem większą sensacją stał się wywiad p. t. „Dlaczego ustąpiłem ze stanowiska szefa rządu“, udzielony przez b. prezesa Rady ministrów Piłsudskiego, naczelnemu redaktorowi „Głosu Prawdy“ p. Stpiczyńskiemu. Aczkolwiek wywiad nie zaleca się ani bogactwem idej, ani też wytwornością sposobu ich wyrażenia, jest jednakże zjawiskiem nadzwyczaj dla obecnego położenia Polski charakterystycznem i z tego powodu poszczególne jego fragmenty omówione zostały dokładniej w innych artykułach niniejszego zeszytu „Myśli“. Tem mniej zresztą omawiać można oświadczenie marsz. Piłsudskiego w rubryce „Przegląd polityczny“, że oświadczenie to miało cechy nie oficjalnej deklaracji politycznej ministra, ale raczej prywatnego utworu literackiego, co sam autor zaznaczył najwyraźniej, żądając za swój wywiad... honorarjum. Ten prywatny niejako charakter wywiadu przejawił się i w tem również, iż marsz. Piłsudski kilkakrotnie powracał w nim do tematu tak osobistego, jak stan swego zdrowia. O treści i stylu wywiadu może dać zresztą niejakie pojęcie następujący urywek:

„Na radzie gabinetowej u p. Prezydenta na Zamku stwierdziłem, że urząd szefa gabinetu jest dlatego tak uciążliwym, iż stałem zajęciem takiego pana jest niańczenie wszystkich podrzutków, które wszyscy mu podrzucają... Więc idą naprzód wszyscy panowie ministrowie, mili moi koledzy gabinetowi, który ciągle i ustawicznie, czy to przy przeszkodach w swojej pracy, czy to chcąc coś uczynić *extra*, czy to zgodnie z polskim charakterem prowadząc spory między sobą, podrzucają szefowi gabinetu kochane pieszczone, a niekiedy zamorusane i niekochane dziatki do niańczenia. Sam proces, t. zw. „uzgadniania“, który w procesie urzędniczym zajmuje u nas tak wygodne i tak wściekle rozłożyste miejsce, trwa zwykle tak nieznośnie długo i tyle zużywa papieru, iż wyznam otwarcie, że pomimo iż proces ten jest nakazany maszynie państwowej, ani razu nie ośmieliłem się dotknąć stosu arkuszów zapisanych maszynowem pismem, ze strachu, bym nie poszedł do szpitala warjatów. A jednak było to moim bezpośrednim obowiązkiem“.

Odpowiedzią niejako na oświadczenie marsz. Piłsudskiego był wywiad udzielony w kilka dni później przedstawicielom prasy przez marszałka Sejmu Daszyńskiego. Polemizując pośrednio z zarzutami, jakie marsz. Piłsudski stawiał działalności izb prawodawczych, marsz. Daszyński w następujący sposób określił obecne położenie polityczne w Polsce: „Gdyby utworzono w tym Sejmie“ — mówił — „stałą większość, mógłby parlamentaryzm polski rozwijać się... jako czynnik potężny legalnego życia publicznego“, zaś jedyną możliwością w tej dziedzinie jest „utworzenie większości rządowej Jedynki z Lewicą“. Nic dziwnego też, iż pogląd tego rodzaju, wypowiedziany przez tak wybitnego przywódcę P. P. S., zrozumiany został w obozie, popierającym rząd obecny, poprostu jako oferta współpracy. Sanacyjny „Głos Prawdy“, nie odrzucając bynajmniej propozycji, zaczął już nawet domagać się dokładniejszego sformułowania programu przyszłego współdziałania. „Żałować bardzo należy“— pisał — „iż marszałek sejmu ograniczył się tylko do określenia formalnej cyfrowej płaszczyzny tej większości, nie wspominając ni słowem o tem, na jakich zasadach, na jakim programie pracy tę większość oprzeć by należało“.

W polityce zagranicznej na uwagę zasługuje przedewszystkiem pierwsze oświadczenie programowe nowoutworzonego rządu niemieckiego. Aczkolwiek kanclerzem Rzeszy Niemieckiej został obecnie socjalista pos. Herman Müller, aczkolwiek socjaliści objęli ponadto teki tak ważne, jak spraw wewnętrznych, skarbu i ochrony pracy — przemówienie kanclerskie utrzymane było w tonie nader pod względem społecznym umiarkowanym, zaś w zakresie polityki zewnętrznej nie odbiegało od programu poprzedniego rządu centrowo-prawicowego. Kanclerz Müller uznał nawet za właściwe oświadczyć wyraźnie, i to specjalnie przy omawianiu stosunków polsko-niemieckich, że „dotychczasowy kurs polityki zagranicznej zostanie

utrzymany“. Ciągłość polityki zewnętrznej Niemiec wypływa nietylko z pozostawiania u jej steru dotychczasowego ministra spraw zagranicznych Stresemanna, ale więcej jeszcze z ogólnego stanowiska i nastrojów niemieckiej partji socjalistycznej. Nie należy bowiem zapominać, że socjalizm w dzisiejszej swej postaci powstał właśnie na ziemi niemieckiej, że najgłówniejsi twórcy programu socjalistycznego: Marx, Lassalle, Rodberthus, Kautsky dzieła swe pisali w języku niemieckim, a stąd socjalizm w Niemczech jest o wiele bardziej ruchem narodowym, nie importowanym z zewnątrz, niż w jakimkolwiek kraju na świecie. Wpływy zaś, jakie zdobył socjalizm niemiecki w „międzynarodówce“, a przedewszystkiem subsydja udzielane przez socjalistów niemieckich słabiej zorganizowanym „towarzyszom“ w innych krajach sprawiły, że polityka międzynarodowa socjalizmu była z reguły raczej jednem więcej narzędziem ekspansji niemieckiej w świecie, nie zaś jej tamą.

Skoro mowa o polityce zagranicznej Niemiec nie trudno przejść do poruszenia wypełniającej ściśle wskazówki i polecenia berlińskie polityki Litwy Kowieńskiej. Długotrwałe rokowania polsko-litewskie nie dają i nie mogą dać żadnych wyników z powodu stałego, prowokacyjnego podawania w wątpliwość przez Litwę obecnych granic Rzplitej. Uregulowanie stosunków polsko-litewskich nie posunęło się w ciągu ostatniego roku ani o krok naprzód.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

PIERWSZE ZBIOROWE WYDANIE „PISM“ WYSPIAŃSKIEGO

NAJGODNIEJSZEM uczczeniem jubileuszu Wyspiańskiego byłoby przedewszystkiem wydanie zbiorowe jego „Pism“, umożliwiające szerokim rzeszom czytelników obcowanie z wiecznie żywym tworem wielkiego poety i proroka „Polski żywej“. Niestety, rozpoczęte w r. 1924 pod redakcją prof. T. Sinki i A. Chmiela pierwsze zbiorowe wydanie „Pism“ Wyspiańskiego (Nakład warszawskiej „Bibljoteki Polskiej“) doszło w roku jubileuszowym zaledwie do czwartego tomu. Przy podobnem nadal tempie pracy nie moglibyśmy się całości, obliczonej na 10 tomów, prędzej jak za jaki dziesiątek lat doczekać. Zdałoby się więc nieco pośpiechu, tembardziej, że końcowe właśnie tomy mają zawrzeć najciekawszy, bo dotąd b. mało znany lub zgoła nieznany materjał, po raz pierwszy tu z autografów ogłoszony, do którego publikacji „Bibljoteka Polska“ wyłączne od rodziny nabyła prawo.

Wydane dotąd cztery tomy objęły materjał następujący: tom pierwszy—dramaty młodzieńcze, tj. fragmenty „Batorego pod Pskowem“ i „Królowej Korony Polskiej“, dalej „Daniela“ i obie „Legendy“; tom drugi—tragedje greckie oraz w antyczną formę ujętą „Klątwę“ i „Sędziów“; tom trzeci —„Legjon“, „Warszawiankę“, „Lelewela“, „Bolesława Śmiałego“ i „Skałkę“; wreszcie tom czwarty — skoncypowaną sztucznie przez prof. Sinkę trylogję i mianem „Boskiej Komedji“ Wyspiańskiego ochrzczoną, a składającą się z „Wesela“, „Wyzwolenia“ i „Akropolis“. Jak widzimy, w układzie nie trzymali się wydawcy konsekwentnie żadnej wytycznej linji, układając materjał raz według porządku chronologicznego (t. I), to znów rzeczowego (t. II), względnie grupując go zupełnie chaotycznie (t. III), lub nawet narzucając autorowi własne sztuczne koncepcje (t. IV). Dowolność a nawet chaotyczność w układzie materjału—to pierwsza poważna usterka wydawnictwa. U Wyspiańskiego, którego twór łączy się w organiczną całość, a jedno dzieło, wiążąc się często ideowo z drugiem, wzajemnie je wyjaśnia i uzupełnia — zasada układu chronologicznego (utworów gatunkowo jednorodnych) byłaby najodpowiedniejsza. Od biedy możnaby się zgodzić i na układ rzeczowy, gdyby konsekwentnie był stosowany. Postępowanie jednak wydawców grzeszy pod tym względem wielką niedbałością, z którą przy przygotowywaniu do druku dalszych tomów bezwzględnie należy zerwać, o ile edycja „Pism“ Wyspiańskiego ma zadowolić choćby *minimum* wymagań, stawianych przez krytykę wydawnictwom naukowym. Również krytyczna rewizja tekstów podczas ustalania ich właściwego, poprawnego brzmienia winna być staranniej przeprowadzona przy skolacjonowaniu wszelkich z pod pióra autora pochodzących redakcyj (braki pod tym względem wykazał szczegółowo w osobnej broszurze J. Dürr) oraz zachowaniu swoistego sposobu pisania poety (w pisowni, składni, interpunkcji). Wyspiański posiadał pod tym względem nawskroś indywidualny, wyłamujący się z pod wszelkich szablonów styl. To też najdrobniejsza, nieuzasadniona zmiana, choćby w usunięciu czy przesunięciu samych znaków pisarskich, może spaczyć myśl i pofałszować intencje autora. Kto jak kto, ale p. A. Chmiel, w długoletnich i zażyłych z poetą pozostający stosunkach, powinien był o tem wiedzieć, że interpunkcja miała dla Wyspiańskiego znaczenie pewnego rodzaju znaków muzycznych i że się nią w oryginalny sposób, mimo drwin rozmaitych profanów (w rodzaju Flacha, Tarnowskiego i tp.), posługiwał. I winien był p. A. Chmiel, podjąwszy się istotnie żmudnej a niewdzięcznej pracy krytycznego ustalenia tekstu, twórczą wolę swego wielkiego przyjaciela uszanować. Niestety, w wielu wypadkach stało się inaczej. Pozatem zajął się p. A. Chmiel zebraniem wszelkich możliwych warjantów, nieraz b. obfitych i znamiennych, umieszczając je w przypisach krytycznych wraz z charakterystyką rękopisów oraz mnóstwem ciekawych informacyj i marginesowych uwag. Pod względem typograficznym starano się przynajmniej w głównym zarysie utrzymać tradycję wydawnictw Wyspiańskiego w zachowaniu charakterystycznego układu druku, rozmiaru i stosunku czcionek i t. p. Szkoda jednak, że dla osiągnięcia właściwego wydawnictwom Wyspiańskiego typograficznego wyrazu nie pomyślano o wprowadzeniu materjału ilustracyjnego (np. dekoracje i plany z „Legendy“, lalki, szkice kostjumowe, portrety aktorów w głównych rolach i tp.), a przynajmniej o zreprodukowaniu okładek, winiet tytułowych i ornamentów zdobiących pierwodruki. Wtedy dopiero mielibyśmy wydawnictwo godne wielkiego artysty, poety i malarza—rysownika w jednej osobie.

Po tych uwagach, odnoszących się do zawartości, układu oraz typograficznego ujęcia, pozostaje nam jeszcze do powiedzenia parę słów o przydługich, nieraz z górą sto stron liczących (np. do t. III i IV) wstępach, jakiemi poszczególne tomy zaopatrzył drugi z redaktorów: prof. T. Sinko. Wyspiański należy istotnie do autorów „trudnych“. Stąd potrzeba pewnej pomocy, inicjacji i spoufalenia z atmosferą bardziej zawiłych utworów, choćby dla mniej wyrobionych czytelników. Odpowiednio więc skoncypowane wstępy, wysnuwające z ważniejszych elementów biograficznych linję duchowego rozwoju poety, objaśniające podstawowe momenty procesu genetycznego, wykazujące krzyżowania się pomysłów poetyckich i malarskich oraz t. p. — jednem słowem wstępy, ułatwiające zrozumienie ducha tworu Wyspiańskiego, takie wstępy były, są i będą zawsze pożyteczne i poznania godne. Nigdy jednak najbardziej uczony komentarz nie zastąpi bezpośredniego obcowania i samoistnego odczucia literackiego tworu. Pożyteczny atoli komentarz, dopóki uczy czytać i pobudza do myślenia, staje się nietylko zbęd-

nym, ale wręcz szkodliwym, gdy komentator myśli za czytelnika i wtłacza mu w głowę gotowe, mniej lub więcej sztuczne schematy. Prof. Sinko w swej praktyce zawodowej przyzwyczaił się do komentowania autorów klasycznych dla wydań szkolnych, przy których ze względu na obcy język i cele pedagogiczne, podanie we wstępie krótkiego przeglądu treści ma pewne uzasadnienie. Niczem atoli nie dadzą się usprawiedliwić podobne szablonowe, paraliżujące zmysł samodzielności streszczenia, gdzie chodzi o przygotowanie do lektury autora „żywego“ (choć już „nieżyjącego“), w wydaniu nie będącem zgoła popularną dla młodzieży przeznaczoną edycją. Przytem prof. Sinko, z zawodu filolog, istotnie ciekawe, acz nieraz zbyt drobiazgowe podający informacje o związkach Wyspiańskiego z antykiem, nie umie jednak w swych ogólnych rozważaniach wyjść na szerszy teren, całą twórczość autora „Wesela“ rozpatrując z ciasnego, jednostronnego punktu widzenia fachowych zainteresowań filologicznych. Wogóle prof. Sinko, jako krytyk, obdarzony jest wrażliwością o bardzo ograniczonej skali odczuć estetycznych. Stąd jego zetknięcie się z żywem bogactwem tworu Wyspiańskiego, poza objaśnieniem tego czy owego szczegółu, dalekie jest od objęcia całości i przeniknięcia jej ducha. Mając umysł przyzwyczajony do pewnych, w utartych szablonach wyrażających się dyscyplin metodycznych, prof. Sinko sekcjonuje twórczość Wyspiańskiego według tych samych martwych schematów, okazując nieraz wobec jego spuścizny śmieszny w swej zarozumiałości protekcjonalizm i nonszalancję, wyrażające się m. in. w narzucaniu wielkiemu, a nie mogącemu się po śmierci bronić poecie własnych profesorskich pomysłów, w insynuowaniu mu rozmaitych dziwacznych alegoryj (vide np. komentarz do „Wesela“ i „Wyzwolenia“ we wstępie do tomu IV-ego), a nawet w apodyktycznem poprawianiu twórcy przez krytyka. Przykład tego mamy również we wstępie do tomu IV-go, gdzie wbrew wyraźnym pod tym względem oświadczeniom i spostrzeżeniom samego Wyspiańskiego, prof. Sinko kombinuje z „Wesela“, „Wyzwolenia“ oraz „Akropolis“ trylogję i nadając jej miano „Boskiej Komedji“ Polski Współczesnej, a swoje sztuczne schematy za najistotniejsze inwencje poety podaje.

Wszystko to obniża wartość ze wszech miar pożytecznego i bardzo potrzebnego wydawnictwa, którego całość obliczona coś na 10 tomów, ma przynieść w dalszym ciągu: resztę dramatów, tom fragmentów dramatycznych i przekładów, tom liryk i rapsodów, tom prozy, a wreszcie bogatą i niezmiernie interesującą korespondencję, oczekującą od szeregu lat w zbiorach p. Włodz. Żuławskiego (Kraków) na chętnego wydawcę. Niewiarygodne to, a jednak prawdziwe i dla naszych stosunków wydawniczych wielce charakterystyczne, że mimo usilnych starań nie mógł dotąd p. Żuławski znaleźć nakładcy dla osobnego wydania tych listów, nieraz wprost rewelacyjnie ciekawych w swych poetyckich obserwacjach, fantazjach (np. listy z Reims) czy objawach subtelnej ironji, a zawsze tak niezmiernie cennych dla poznania duchowego oblicza ich autora.

Kraków RAJMUND BERGEL

POEZJA SAMOLOTU

NOWY motyw w poezji, aeroplan, stał się zagadnieniem estetyki. Interesowany w tej sprawie poeta, autor poematu „Lotnik niezłomny“, p. Stanisław Bąkowski z Poznania, z powodu recenzji, zamieszczonej w „Kurjerze Poznańskim“ przez redaktora naszego pisma, dzieli się w liście prywatnym do niego swemi poglądami w tej materji. Ponieważ są one przeżyte przez autora i bardzo interesujące, pozwalamy sobie urywek przytoczyć:

„Podnieta do zerwania z tradycją formy musiała być we mnie tem silniejsza, że kręgosłup samego pomysłu literackiego (lot w przestworzach) był wybitnie nowoczesny.

Z zagadnieniem lotu, ściślej biorąc, latawca, łączą się niektóre uwagi z któremi niezupełnie się godzić mogę. Samolot sam przez się poetycko mniej nas ujmuje, niż okręt, a tem więcej koń. Jest to objaw przejściowy, wypływający z nowości jego; gdy przeminą wieki, stanie się on sam przez się równie poetyczny jak okręt i wszystkie wogóle narzędzia o kształtach prostych, które nam oddawna spowszedniały. Natomiast pojęty w związku z człowiekiem, jako czarodziejskie (choć mechaniczne) przedłużenie jego ramion, upodobniające go do ptaka, samolot jest najpoetyczniejszym środkiem lokomocji, jaki wogóle sobie wymarzyć można było i bije pod tym względem na całej linji nietylko okręt, ale i konia, które przy rozwinięciu największej chyżości zawsze związane są z ziemią czy wodą, podczas gdy on, żadnej podpory nie znając, buja sobie już dosłownie, gdzie tylko zechce. Ta dosłowność swobody ruchu nie może nie dawać wyobraźni poetyckiej silniejszej podniety, niż okręt i koń. Oczywiście myśl poetycka może bujać naokoło świata bez samolotu, jak i wogóle bez żadnego środka lokomocji, czy to będzie myśl Moora, czy innego prawdziwego poety. Ale lot taki będzie mimo wszystko zawsze abstrakcją i wskutek tego nie zdoła dać tego wrażenia żywej bezpośredniości, jakie możliwe jest tylko przy zastosowaniu konkretnego środka lokomocji.

Zdanie Pana, że nowy wynalazek nie tworzy nowych poetów, zmodyfikowałbym tak: — nowy wynalazek w niezmiernej większości przypadków nie zdoła odzwierciedlić się w prawdziwej poezji. Pochodzi to stąd głównie, że prawie wszystkie nowe wynalazki są skomplikowane w kształcie, a brak prostoty zewnętrznej jakiejś rzeczy przesądza nazawsze jej prozaiczność. Pojawiające się dziś np. dość częste wiersze na temat maszyn i śrub uważam za przemijające próby wciągnięcia *„par force“* do poezji techniki nowoczesnej, dyktowane manją poszukiwania „nowej“ poezji, „wiernej epoce“.

Zdarzają się jednak rzadkie bardzo wyjątki, że nowy wynalazek posiada cechy poetyczności. Traf chce, że takim właśnie urodził się... aeroplan...

Na zakończenie dodam, że cokolwiek zresztą powiedzielibyśmy — krytyka czy ja — o „Lotniku niezłomnym“, czas jego, jak sądzę, jeszcze nie nadszedł. Dużo wody upłynie, nim on przyjdzie i jasnym wzrokiem przeniknąwszy go, rozstrzygnie, co w nim dobre, co złe“.

Poznań STANISŁAW BĄKOWSKI

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Od kilku tygodni przebywa w Polsce znakomity pisarz francuski Paweł Cazin, świetny tłumacz „Pamiętników Paska“. Ostatnio bawił u pp. Pawlikowskich w majątku Medyce (Małopolska Wschodnia).

Pozatem przybyli do Polski trzej utalentowani pisarze francuscy młodszej generacji: Georges Oudard, Andrè Therive i Robert Bourget Pailleron. Zwiedzili oni Pomorze, Kraków, Lwów, Warszawę, Wilno. Georges Oudard, autor znakomitego studjum *„La vie trés curieuse de Jean Law“* (jeden z tomów znanego wydawnictwa *„Le roman des grandes existences“*) zamierza swoje wrażenia z Polski ogłosić w osobnej książce.

*

W sezonie jesiennym ma się ukazać nakładem Hoesicka wysokiej miary artystycznej utwór utalentowanego poety Stefana Godlewskiego p. t. „Złota kaczka“ z mistrzowskiemi ilustracjami prof. Noakowskiego. — Zapowiadane też jest inne dzieło w wydaniu ozdobnem, mianowicie „Legendy“ Zofji Kossak-Szczuckiej z ilustracjami p. Michałowej Pawlikowskiej, która ilustrowała barwnie utwór swego męża „Jagnieszka“ w Bibljotece Medyckiej.

*

Dowiadujemy się, że znany badacz literatury Wacław Borowy pracuje nad monografją o Stefanie Żeromskim. Borowy pisał już parokrotnie o Żeromskim, ale jak bardzo interesuje go twórczość tego pisarza, dał dowód, wydając w r. ub rozproszone po czasopismach okruchy jego prac w zbiorze pt. „Elegje", zrobił to znakomicie. Przedtem powinna wyjść gotowa już książka, złożona z doskonałych studjów i szkiców, Jana Emila Skiwskiego, gdzie jest obszerna praca o Żeromskim, znana częściowo czytelnikom „Myśli Narodowej". Niestety dotąd autor nie ma jeszcze nakładcy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako drugi tomik „Bibljoteki „Myśli Narodowej" (pierwszy tomik stanowił wybór „Mów Mussoliniego" w przekładzie sen. Wł. Jabłonowskiego) ukazała się ostatnio rozprawa sen. Stanisława Kozickiego p.t. „Niemcy i Polska na tle polityki powojennej" Złożyły się na nią drukowane niedawno w „Myśli Narodowej" artykuły: „Polityka powojenna Niemiec", „Polityka powojenna państw zwycięskich", oraz „Plany rozbiorcze i polityka polska". Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena 1 zł. 50 gr.

*

Nadzwyczaj interesujące, zawierające szereg nowych zupełnie oświetleń i poglądów dzieło ogłosił ostatnio dr. Bolesław Bator pt. „Metamorfozy polskie. Szkice demograficzne" (Warszawa, 1928, nakładem Naukowego Instytutu Emigracyjnego). Oto tytuły rozdziałów: I. Polska w nowej postaci, II. Oblicze Światowida, III. Łużyce, ługi, łachy i Lachy, IV. Era ruska, V. Ruiny wojenne w żywej sile narodów, VI. Nowe miary żywotności, VII. Drogi handlowe i położenie geograficzne, VIII. O potrzebie etnografji użytecznej, IX. Przewodnictwo Warszawy. Niektóre z przytoczonych tematów omawiał autor poprzednio w artykułach drukowanych w „Myśli Norodowej".

Całość przynosi tyle cennych informacyj z dziedziny historji, etnografji, statystyki, tyle śmiałych i oryginalnych poglądów oraz hypotez, pisana jest przytem stylem tak żywym i przejrzystym, że czyta się ją dosłownie „jednym tchem". Książkę dr.Bolesława Batora omówimy wkrótce obszerniej.

*

Znakomitą, żywą, barwną, a budzącą podziw sumiennością naukową i ogromem erudycji pracę, ogłosił prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wacław Sobieski pt. „Walka o Pomorze" (Poznań, 1928, nakładem księgarni Św. Wojciecha). Przedstawił w niej kolejno, jak szczep pomorski, polski od prawieku, coraz wyraźniej polskość swą sobie uświadamiał, jak o ujście Wisły toczyła Polska kilkuwiekową walkę najpierw z zakonem krzyżackim, następnie z Hohenzollernami i Szwedami, jak po rozbiorach, w niewoli Hohenzollernów, Pomorze dochowało wierności polskiej Ojczyźnie, aby nakoniec, w myśl postanowień Traktatu Wersalskiego, stać się na nowo nierozdzielną częścią odrodzonej Rzeczypospolitej. „Pomorze" — pisze prof. Sobieski — „jest zroszone i przesiąknięte krwią naszych ojców tak, jak żadna inna ziemia nasza — o ten kraj stoczyliśmy setki bitew i ową ze wszystkich największą — pod Grunwaldem".

Piękną książkę prof. Sobieskiego przeczytać powinien każdy, dosłownie każdy,komu droga jest przeszłość Polski i kto pragnie głębiej i dokładniej ją poznać.

*

Nakładem księg. Św. Wojciecha w Poznaniu wyszła powieść Jerzego Bandrowskiego p. t. „Zolojka" — powieść z nadmorskiej Polski. Ze względu na ten charakter lokalny i ze względu na wartość literacką, dzieło to uważać można za wybitne zdarzenie w naszej literaturze. Jerzy Bandrowski, doskonały obserwator i pisarz utalentowany, mający już za sobą 20 tomów powieściowych i podróżniczych, włożył w studja nad polskiem morzem parę lat porządnej pracy. „Zolejka" jest właściwie pierwszą powieścią polską morską. Poprzedza ją Artura Gruszeckiego dawna powieść „Tam gdzie Wisła się kończy", w której morze jest tylko dekoracją i pretekstem, a potem Żeromskiego poemat raczej „Wiatr od morza". Bandrowski potrafił napisać powieść o rybakach z taką znajomością ich życia, jak Reymont pisał o chłopach. Czytając Bandrowskiego powieść doznajemy wrażenia, że mamy swojego Heijermansa. Autor dbał nie tyle o efekty literackie, ile raczej o ciekawość naszą — co właściwie robią, co czują, co mówią rybacy, co jest treścią ich życia, bo przecież „letnik" z plaży tego sam nie pozna.

Mamy więc oprócz romansu doskonałe studjum nad psychologją morza i życia namorskiego. Dobrze zrobili autor i wydawca, że do powieści dodali szereg bardzo ciekawych szkiców dydaktycznych o życiu rybaków i ich przemyśle. Ponadto autor sporządził i dodał słownik mniej zrozumiałych wyrazów kaszubskich. Powieść Jerzego Bandrowskiego zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Książka pod względem zewnętrznym przedstawia się solidnie.

*

W roku ostatnim nietylko liczba placów tennisowych w Polsce niepomiernie wzrosła, lecz także ukazał się pierwszy polski podręcznik tennisa. Skreśliły go kompetentne pióra Wł. Kuchara i Z. Stahla. Z dwójki tych autorów, czołowych tennisistów lwowskich, pierwszy jest wszechstronnym sportowcem, drugi zaś (tegoroczny zwycięsca Kuchara i mistrz Lwowa) specjalizuje się w tennisie, lecz pozatem czas swój dzieli między pracę naukową — asystentura ekonomji społecznej na Uniw. im. Jana Kazimierza — i organizacyjną, jako jeden z przywódców ruchu Młodych Obozu Wielkiej Polski. Książkę, zatytułowaną „Tennis", mimo przystępnej ceny (4 zł.) zdobi mnóstwo fotografji; nie są to wprawdzie zdjęcia seryjne, najbardziej pouczające dla studjujących technikę gry (zdjęciami takiemi opatrzył np. świeżo dziełko swoje Lacoste) lecz niemniej mają swoją wartość, a w dodatku przypominają czytelnikom niejednego znajomego. Między innemi podziwiamy „Z. Stahla w prawidłowej pozycji"; gdzieindziej — „w głębi placu Marszewski"; ówdzie Warmiński (wyjątkowo na tej ilustracji niepodobny), Kuchar, i inni. — Wykład, sumienny i uwzględniający wcale szeroko literaturę przedmiotu, zaczyna się od przedstawienia ogólnych zasad hygjeny sportu; a dalej omawia prawidła gry, technikę, style, taktykę i t. d. przyczem, o ile możności, autorzy nie ograniczają się do wskazówek najbardziej elementarnych, lecz mają na oku także graczy zaawansowanych. — Terminologja naogół dobra, polska, co wymagało od autorów pewnej samodzielności, bo nie wszystkie jeszcze terminy tennisowe ostatecznie już zostały spolszczone; choćby *„set"* i *„match"* (dalej nie szukając) czekają dotąd na ustalenie swych polskich odpowiedników.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Życie św. Wincentego à Paulo było już tylekrotnie opisane, że zdawałoby się, iż temat tego cudownego istnienia został zupełnie wyczerpany. A jednak jest ono tak rzeczywiście cudowne, że każdy z największą przyjemnością odczyta książkę p. Henri Lavedan'a p t. *„Mousieur Vincent, aumônier des galerés"* (Plon edit.). Imaginacja autora potrafiła w niej namalować obrazy bardzo barwne, może nawet chwilami trochę teatralne. Są jednak rozdziały specjalnie charakterystyczne, a do tych przedewszystkiem należą te, w ktorych p. Lavedan opisuje życie świętego Wincentego na tle ówczesnej, tak ogromnie jaskrawej i ciekawej epoki. Jakże przejmujące są te stronice, w których autor odmalowuje dzieciństwo tego wielkiego świętego, aby potem etapami coraz bardziej dramatycznemi doprowadzić czytelnika do końcowych akordów! Na te rozdziały składają się, pomiędzy tylu innemi, opowieści o św. Wincentym jako kapelanie galerników, a także te, które go przedstawiają jako starca osiemdziesięcioletniego o schorowanych nogach, przesuwającego się po wąskich uliczkach Paryża. w poszukiwaniu za opuszczonemi dziećmi. Temat ten zresztą potraktował p Lavedan ze szczerym entuzjazmem i mistrzowstwem stylu.

*

Głęboki myśliciel i pisarz włoski Delcroix, bohater wielkiej wojny, który w walce za ojczyznę postradał obie ręce i wzrok, ogłosił ostatnio piękną książkę p. t. *„Un uomo e un popolo"* (Florencja, nakł. Valsechi, 1928). Rzecz poświęcona jest Mussoliniemu i faszyzmowi. Według Delcroixa wódz faszyzmu włoskiego nie ma w sobie nic z „szczęśliwego karjerowicza". „Różnica między wodzem prawdziwym a awanturnikiem" — pisze Delcroix — daje się natychmiast zauważyć ze sposobu, w jaki zachowuje się on w powodzeniu i w jaki traktuje lud", bowiem lud może być godnym pogardy „tylko w oczach nędzoty, przystrojonej w szatę władzy. Mussolini, jak stwierdza autor, zwracając się do ludu, starał się zawsze uczynić go dumnym ze swej italskości, bez czego, jak słuszenie sądził, niesposób podźwignąć go moralnie, uczynić go wielkim i potężnym. Wódz faszyzmu nie poniża nigdy swego narodu, ale go podnosi.

Dzieło liczy 423 stron dużego formatu.

*

W najbliższych miesiącach zacznie w Pradze czeskiej wychodzić miesięcznik *„Slavische Rundschau"* poświęcony sprawom kultury narodów słowiańskich, zatem nauce, literaturze, sztuce, polityce i t. d. Redakcję tego pisma, mającego zobrazować całe życie umysłowe i duchowe Słowian doby dzisiejszej, objęli profesorowie uniwersytetu niemieckiego w Pradze, m. in. dr. Franciszek Spina i dr. Gerard Geseman. Działem polskim kierować będzie znany krytyk polonofil, red. A. S. Mágr, który zapewnił sobie współpracę wybitnych pisarzy, uczonych i krytyków polskich.

NOTATKI i MATERJAŁY

O CYTATACH

Z RÓŻNYCH powodów przytaczamy cudze zdania: najczęściej dla poparcia własnego, czasem dla ozdoby, czasem całkiem bez potrzeby, lub żeby zaimponować erudycją. Mniejsza o to. W każdym razie jędrne sentencje, przysłowia i historyczne słowa spotykamy na każdym kroku w piśmiennictwie. Niekiedy służą one jako *motto*, a artykuł, albo nawet książka jest tylko ich rozwinięciem. Znam pewien dramat polskiego autora, którego myślą przewodnią jest aforyzm Monteskiusza, fałszywy zresztą zupełnie, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasłużył.

Jeżeli o książkach mówimy: *„habent sua fata“*, z tem większą słusznością można powiedzieć i o cytatach, iż los niemi włada. Właśnie sentencja, którą tu przytoczyłem, jest jednym z licznych przykładów, zależności dzieł od wyroków losu.

Przedewszystkiem oto twórca tego tak często powtarzanego aforyzmu, był do niedawna całkiem nieznany, uwagę jego przypisywano różnym autorom. Wreszcie ktoś odkrył przypadkiem, że jest nim Terentianus Maurus scholiasta z 2-go wieku po Chr. Jest to jedyne zdanie ważkie, jakie po nim pozostało. Ale okazało się przytem, że zdanie to powtarzamy błędnie, przez to, że je skracamy, co zmienia sens jaki mu nadał autor. Całe zdanie brzmi: *„Pro captu lectoris, habent sua fata libelli“*. „Według tego, jak je czytelnik rozumie, ulegają książki losowi“. To jest przecież całkiem coś innego. W urwanem zdaniu mamy całkiem materjalne ujęcie sprawy — w pełnem uwypukla się myśl autora, który chciał powiedzieć, że w książkach dopatrują się nieraz ludzie rzeczy, których autor nie zamierzał powiedzieć, a nie rozumieją tych, które powiedział.

Tak często powtarzaną maksymę *„si vis pacem para bellum“*, powtarzamy także nie ściśle. Wegecjusz, z którego zaczerpnęliśmy ją, wyraża się trochę inaczej: *„Qui pacem desiderat—praeparet bellnm“*.

Według Plutarcha, cezar powiedział wprawdzie, że rzucił kość, lecz myśl tę wypowiedział po grecku: *anerifto ho Kybos*.

Sporo wogóle sentencyj, rzekomo łacińskich, pochodzi od greckich myślicieli: n. p. *„ubi bene ibi patria“*— wzięto z Arystofanesa. *„Nosce te ipsum“*, to tłómaczenie napisze w świątyni delfickiej.

„Homo sum, nihit humani a me alienum puto“ zawdzięczamy wprawdzie Terencjuszowi, lecz jak on sam przyznaje w prologu, wszystkie swoje komedje przetłumaczył z greckiego. W tym wypadku Menander jest autorem sentencji.

Często używana cytata. *„Davus sum non Oedipus“*, także zapewne pochodzi od Menandra, chociaż zawdzięczamy ją Terencjuszowi.

Według Diogenesa, Laertesa piękną zasadę *„de mortuis nil nisi bene“* miał głosić Chilon, jeden z siedmiu greckich mędrców.

Autorem najpopularniejszej bodaj sentencji, *„bis dat qui cito dat“*, najpopularniejszej wśród biorących oczywiście, jest Publiliusz Syrus, aktor rzymski z I-go wieku przed Chr., a zarazem autor kilkuset aforyzmów, z których ten, który przypomniałem, jest najżywotniejszy.

Wiele powiedzeń, rzekomo historycznych, należy do dziejów fantazji ludzkiej. Cesarz Juljan Apostata, nie wołał—według wszelkiego prawdopodobieństwa—umierając: *„Galileae vicisti“!* Nic o tem nie mówi Ammianus Marcellinus, nieodstępny towarzysz Cezara i jeden z najpoważniejszych historyków rzymskich, który opisuje szczegółowo śmierć Juljana. Zresztą zwycięstwo Sapora perskiego króla nad Rzymem nie było zwycięstwem chrześcijaństwa.

Kościuszko nie powiedział: *finis Poloniae*. Wątpliwe jest także, aby Napoleon przy odwrocie z Moskwy mógł powiedzieć *„du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas“*.

Generał Cambronne, dowodzący gwardją pod Waterloo miał powiedzieć: *„la garde meurt et ne se rend pas“* i jeszcze inne słowo mu przypisywano, bardzo trywjalne, słowo: *„le mot de Cambronne“*. Ale okazało się z czasem, że to są legendy.

Floquet miał się odezwać do ces. Aleksandra II-go w r. 1867 podczas wystawy paryskiej: *„vive la Pologne monsieur“!* Ponieważ on sam temu przeczył i nam nie wolno wierzyć, aby wypowiedział te słowa.

Przysłowia i sentencje znoszą się czasami nawzajem: Milczenie jest złotem, mówi jedno przysłowie, a drugie: *„in bocca chiusa non entrio mai mosca“* — w zamknięte usta nigdy mucha nie wpadła, „siedź w kącie—znajdą cię“ mówią ludzie, bojący się rywali, a Heine zachęca: *„werde keck und fordre laut“!*

Oprócz znanych i czasem do znudzenia powtarzanych sentencyji istnieje sporo pięknych aforyzmów, których nikt nie przytacza. Cesarz Juljan n. p. powiedział: *„Quis innocens si accusasse sufficiet“?* Któż będzie niewinny, jeżeli oskarżenie miałoby wystarczyć (do potępienia)?

Wegecjusz powiedział oprócz słynnego *„si vis pacem para bellum“*, inny bardzo trafny aforyzm: *„Qui victoriam cupit, milites imbuat diligenter“*. Kto pragnie zwycięstwa, niech ćwiczy pilnie żołnierzy. Zdanie to powinno widnieć na wszystkich koszarach.

Pliniuszowi starszemu zawdzięczamy doskonałą sentencję, której nigdzie nie spotkałem poza tekstem: *In contemplatione naturae nihil possit videre supervacuum“*. Przy badaniu przyrody, nic nie powinno nam się wydawać zbyt błahe.

Niestety Pliniusz nie był wierny zasadzie, którą głosił i naturę badał bardzo powierzchownie. Zdaniem tego przyrodnika i pierwszego encyklopedysty cynober powstaje z krwi smoka, którego słoń rozdeptał...

Pliniuszowi winniśmy jeszcze kilka doskonałych sentencyj, n. p. *„Vita vigilia est“*—życie jest (ciągłem) czuwaniem. Może to znaczyć, że powinniśmy ciągle czuwać, bo nam zewsząd niebezpieczeństwo zagraża, między innemi od naszych namiętności, a także, że o tyle żyjemy, o ile na wszystko patrzymy ciekawem okiem. Inne życie— to sen.

„Homini ex homine plurima sunt mala“. Największe zło wyrządza człowiekowi człowiek, to także Pliniusza uwaga.

Jemu także zawdzięczamy aforyzm, dziś aktualniejszy niż kiedykolwiek: *„Quam multa fieri non posse, priusque sunt facta, iudicantur“*. Ileż rzeczy uchodzi za niemożliwe, póki się nie staną rzeczywistością.

Istnieje więc sporo trafnych i głębokich sentencyj, które nie doczekały się zaszczytu cytaty, a równocześnie wiele banalnych uwag, n. p. o krótkości życia, lub zmienności kobiet powtarzamy w kółko, choć nie wymagały wielkiego namysłu i spostrzegawczości i pewnie niejeden troglodyta skarżył się na te same dolegliwości temi samemi słowy, co Hipokrates, Cicero, Wirgiljusz. Słusznie więc powiemy: *Habeant sua fata—apophtegmata.*

Kielce FELIKS CHWALIBÓG

NOWE KSIĄŻKI

Nakładem księg. św. Wojciecha w Poznaniu wyszły:
Sobieski Wacław. Walka o Pomorze. s. 223.
Bandrowski Jerzy. Zolojka. Powieść z nadmorskiej Polski.
Księgarnia Gebetnera i Wolffa wydała:
Maciejewski Jerzy Konrad. Pograniczne ogniska. Powieść.
Michaelis de Henning. E. gen. Burza dziejowa. Pamiętnik z wojny światowej 1914 — 1917. T. II.
Saliński Stanisław M. Opowieści morskie. Nowele. Z przedmową Z. Dębickiego,
Leczycki Kaz. Państewko. Powieść.
Kozicki Stanisław. Na Sycylji.
Nakładem Domu Książki pol. wyszły:
Conrad Joseph. Murzyn z załogi Narcyza.
Marion. Rozbite gniazda. Opowieść o szarych ludziach.
Dębicki Zdzisław. Belgja i Polska. Wydaw. Tow. Przyjaciół Belgji. Warsz. 1928. Skład główny Dom Książki pol.
Warrain Francis. Wiązanie metafizyczne, sporządzone według prawa stworzenia Hoene-Wrońskiego. Przełożyli z franc. Józef Jankowski i Paulin Chomicz. Warsz. 1928. M. Arct. 2 port., s. XII i 348.
Ruch Literacki, nr. 6 (czerwiec).
Ateneum Kapłańskie, czerwiec-lipiec.
Sprawy Narodowościowe, nr. 2 — czerwiec.
Educazione Fascista, zesz. VI, rocz. VI.

NA MARGINESIE

Rozgłośne wynurzenia ustępującego szefa rządu p. Piłsudskiego były dyktowane p. Stpiczyńskiemu, zaufanemu redaktorowi „Głosu Prawdy". Być może nie wywołałyby one tyle politycznej sensacji, gdyby jednocześnie ogłoszono, że ustępujący szef rządu dawał ten wywiad w charakterze prywatnym, skoro zażądał za niego honorarjum. P. Piłsudski postawił gazecie dwa warunki: 1) „Wszystko co powiem musi być wydrukowane bez żadnych zmian i opuszczeń. Wolno wam pisać komentarze jakie chcecie, ale zmieniać moich słów nie wolno", 2) „Umyśliłem sobie uczynić mały luksusik, na który termin już mi zapadł. Na ten luksusik muszę koniecznie zapracować specjalnie pieniądze. Otóż postanowiłem, że pracą tą będzie wywiad dla prasy. Stpiczyński się zgodził, a dziennik „ABC" doniósł nazajutrz, że fundusz potrzebny (kilku tysięcy złotych) złożyły między sobą dzienniki sanacyjne w celu pokrycia honorarjum. Dlatego wywiad ogłoszono w kilku dziennikach jednocześnie. Pomienione wyżej warunki zostały trochę złamane, albowiem „komentarzy, jakich zechce", prasa pisać nie może. Z powodu komentarzy, które ogłosiły dwa dzienniki: „Robotnik" i „Gazeta Warszawska", oba te dzienniki były skonfiskowane. A zamieściły one opinję, za którą nikt nie brał honorarjum, był to bowiem głos zbiorowy i poważny dwu wielkich obozów z dwu przeciwnych biegunów opinji społeczeństwa. Należało go wysłuchać.

*

W jednym z dzienników „sanacyjnych" w następujący sposób wyjaśniony został sens ostatniego oświadczenia b. premjera Piłsudskiego:

„Trzeba to odrazu z jak największym naciskiem stwierdzić: marsz. Piłsudski w enuncjacji swojej w sposób bezprzykładnie ostry i wyraźny, postawił na porządku dziennym postulat zmiany konstytucji. Uczynił to z wrodzoną mu rewolucyjnością ducha, z namiętnością człowieka czynu, człowieka, który w gorączkowem dążeniu do urzeczywistnienia tego czynu, cały się spala i wyżywa".

„Gorączkowe dążenie" ma najwyraźniej charakter „gorączki przewlekłej". Dwa lata zgórą minęło od chwili przewrotu majowego, a pomimo „spalania i wyżywania się", pomimo „namiętności" b. premjer nie tylko nie przeprowadził jeszcze zmiany konstytucji, ale nawet nie zdążył dotąd sformułować najogólniej programu reform, które pragnąłby wprowadzić...

*

Na marginesie ciężkich trosk, jakie Polska przebywa w polityce zewnętrznej i wewnętrznej, zanotować trzeba, że obóz sanacyjny czuwa i pracuje jak umie nad naprawą Rzeczypospolitej i dla jej powagi mocarstwowej. Pierwszy lot polski przez Atlantyk majorów Idzikowskiego i Kubali miał być dokonany na samolocie „Orzeł Biały". Postanowiono jednak zmienić tę nazwę na: „Marszałek Piłsudski". Obecnie Związek Naprawy Rzeczypospolitej zbiera wśród urzędników podpisy na petycję do Rady m. Warszawy, aby przemianowała historyczny plac Saski na „Plac marsz. Piłsudskiego". W kołach sanacyjnych rozważana jest podobno myśl, czy nie dałoby się osiągnąć Naprawy Rzeczypospolitej w sposób radykalny przez ogólne jej przemianowanie.

*

Krakowski „Czas", kamerdyner polityczny różnych kolejno marszałków (warto przypomnieć jego służbisty artykuł na cześć marszałka Hindenburga z 2 listopada 1915) w obszernem sprawozdaniu z międzynarodowej wystawy prasy w Kolonji (Nr. 151 z dn. 5 lipca b. r.) systematycznie i umiejętnie sączy w umysły przekonanie o... pokojowym duchu „nowych Niemiec". Bez żadnych podstaw usiłuje wmówić w czytelnika, że „duch nowych, republikańskich Niemiec stacza ciężką dzień w dzień walkę z duchem Poczdamu", że „szczerze dąży w innym kierunku" i że najbardziej jaskrawe wybryki hakatyzmu nie powinny nas zbytnio niepokoić, są one bowiem jedynie pozostałością w psychice starszego pokolenia, „suggestją... pierwszej nauki", dawanej kiedyś, przed wojną jeszcze, przez nacjonalistycznie wówczas usposobionego „pruskiego nauczyciela". Nawet hymn „*Deutschland, Deutschland über alles*" znalazł na łamach liberalnego „Czasu" życzliwą obronę: „Pieśń *Deutschland, Deutschland über alles*" jest dziś — tłumaczy „Czas" — narodowym hymnem Republiki niemieckiej, a kto zna jej tekst, musi przyznać bezstronnie, że niema w niej samej żadnej prowokacji".

Miły Boże! Kiedyż dziennik konserwatystów krakowskich okaże tyle „bezstronnej" wyrozumiałości i sympatji dla nacjonalizmu... polskiego?!

ERRATA

W artykule St. Cywińskiego „Barokowe tendencje u Słowackiego" w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej" poprawić należy następujące błędy druku. Winno być:
Str. 248, szpalta I, w. 22: „Że duch jak błyskawica"; tamże w. 2 od dołu: „mocnego ducha"; tamże, przypisek, w. 3 od dołu: „Słowackiana"; str. 249, szpalta I, w. 5: „otworzone i usunięte"; tamżee w. 15 „Lilli i Rozy"; tamże w. 25: „salarjum"; tamże, szpalta II, w. 7: „praca".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM